



akcja

„Dukał”



stapanie

po błędach



silniejszy

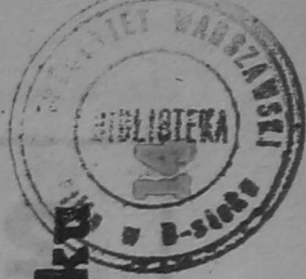
niż dynamit 7



bracia

spod znaku

„Pogoni”



KONTAKTY

ŁOMZYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

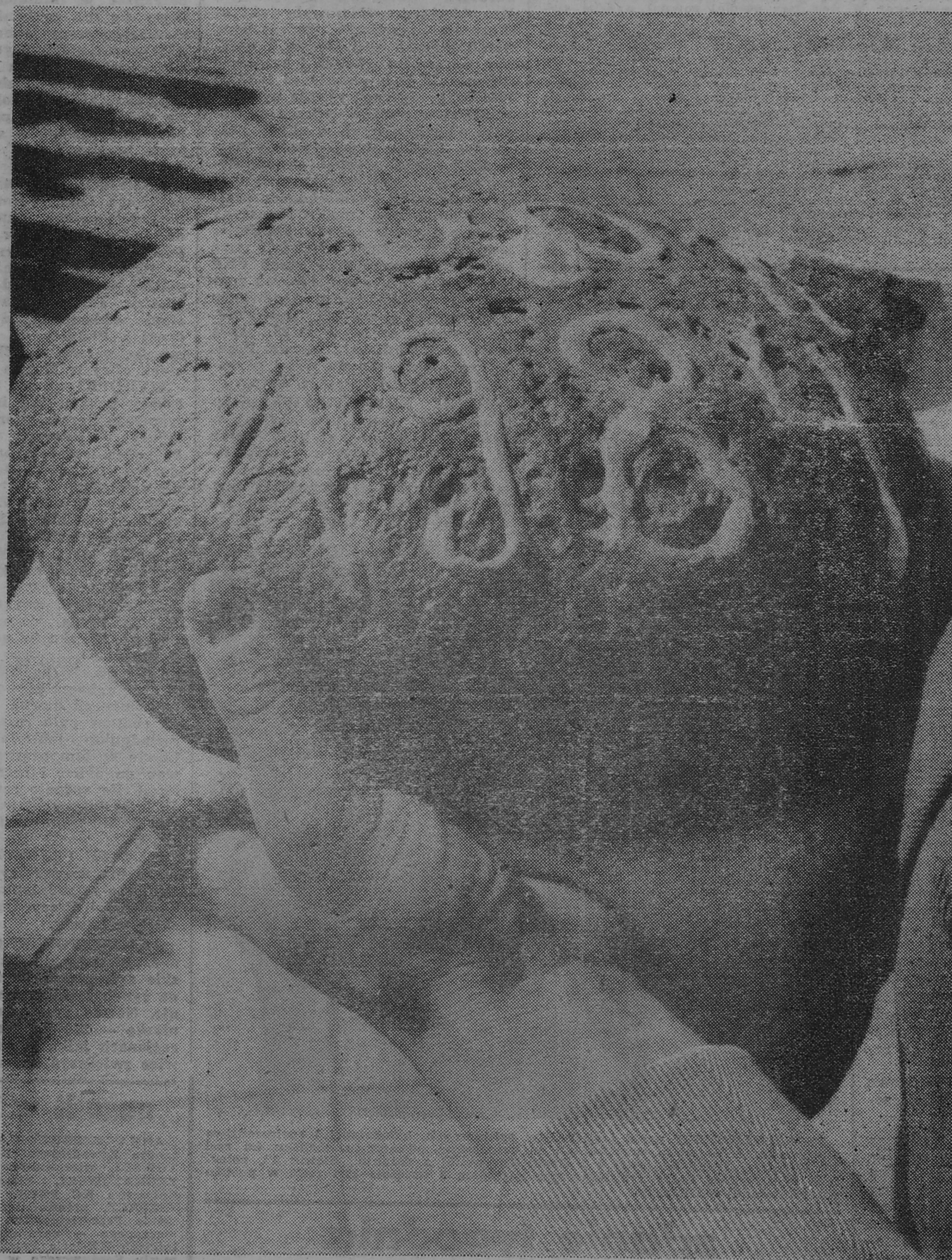
PL ISSN 0208-6840

37

(205)

KONTAKTY
16 IX 1984

cena
10 zł



Oby wszystkie bochenki z tegorocznej maki były tak piękne i smaczne jak ten pierwszy!

nadbiebrzańskie świątowanie

GABRIELA SZCZESNA

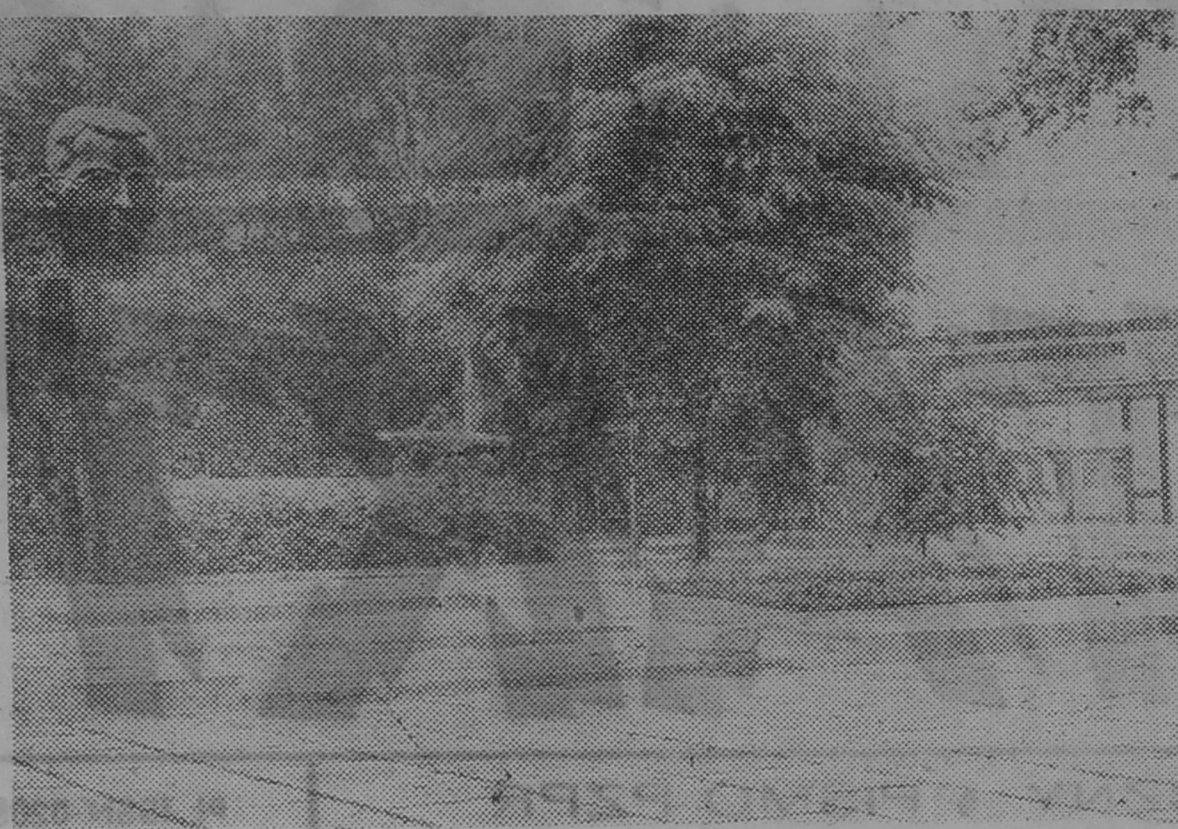
Gospodynie z Białosukni i Kramkówek: Małej rozpoczynają rywalizację o tytuł najlepszego Koła Gospodyń Wiejskich. Tłum mieszkańców Goniądza i okolic kłębi się na placu przed Miejsko-Gminnym Ośrodkiem Kultury i wewnątrz budynku. Dzieci mrużą oczy od słońca, oblizują lody, płaczą się między — burzącymi na nich — dorosłymi. Co sprytniejsi siedzą wygodnie na krzesłach; pozostali mają do dyspozycji tylko trawnik i schody do MGOK-u. Na pierwszym piętrze, przez otwarte okna, powiewają firanki.

Co chwila ukazuje się jakaś głowa. Najczęściej przedstawicielki Koła Gospodyń Wiejskich z Białosukni, bo tam właśnie zorganizowały wystawę regionalną. Można tu podziwiać niezwykle piękne hafty, tkaniny. Są też starocie, które chciałby mieć w swoich zbiorach niejeden kolekcjoner: żelazko „z duszą”, kołowrotek, beżmian, stępa, motowidła, kosior (eksponaty są zaczątkiem przyszłego muzeum rolnictwa w Goniądzu) i, oczywiście, tegoroczne plony — nie spotykanej wielkości cebula, pory, buraki, ziemniaki, marchew.

A tu już kolejna konkurencja: konkurs piosenki ludowej. „Nasiałam ja kąkolu cztery mile od lasu. A któż mi go opieł?” — pytają go-

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

W NASTĘPNYM NUMERZE: we wspólnym schronie z kpt. Raginiszem ▲ „Nadzieja wbrew nadziei” — ostatni odcinek refleksji dr. Zdzisława Czeszejki-Sochackiego ▲ przyjaciel Kurpiów ▲ szaleństwo pioruna kulistego ▲ „Jedwabne życie” ▲ Łomża w 40-lecie ▲ Carlos Santana.



XX LAT PRZEDSIĘBIORSTWA Przemysłu Spożywczego w Łomży. Historia tego zakładu, przypomnijmy jeszcze raz, zaczęła się w 1964 roku uruchomieniem krochmalni i suszarni mączki ziemniaczanej. W dwa lata później powstał wydział glukozowni, w 1968 ruszył browar, a w 1976 — wytwórnia pasz. O rozwoju zakładu świadczy zresztą nie tylko rozszerzanie, ale przede wszystkim wzrost produkcji: prawie dziesięciokrotny — mączki ziemniaczanej, dwukrotny — piwa, szesnastokrotny — wycierki ziemniaczanej, dwupółkrotny — glukozy. W ubiegłym roku ponad 1200-osobowa załoga Przedsiębiorstwa wytworzyła towary wartości (sprzedanej!) 5387 milionów złotych. Z okazji jubileuszu odbyło się uroczyste posiedzenie Rady Pracowniczej; przyjęła ona akt nadania Przedsiębiorstwu imienia Aleksandra Zawadzkiego, którego pomnik (na zdjęciu) stanął przed bramą wjazdową do zakładu, a liczne grono pracowników zostało uhonorowanych odznaczeniami państwowymi, regionalnymi i resortowymi. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski odznaczono Eugeniusza Klufa i Alfreda Czapę. Złote Krzyże Zasługi otrzymali: Czesław Kaliściak, Stanisław Kaseja, Jerzy Mańczak, Walery Nowicki; srebrne — Mieczysław Bronowicz, Irena Buraczewska, Stefan Grudziński, Stanisław Karwowski, Jan Nowak; brązowe — Szczepan Bakier, Kazimierz Jabłocki, Witold Olszewski, Jerzy Słazak, Ryszard Szymański; 24 osobom wręczono „Medale 40-lecia PRL”, a 25 — odznaki „Zasłużony dla Ziemi Łomżyńskiej” (zbiorowo tym wyróżnieniem WRN uhonorował cały zakład). Wśród zaproszonych gości znaleźli się najlepsi producenci ziemniaków, którzy otrzymali odznaczenia „Zasłużonego Pracownika Rolnictwa”. Gratulujemy!

OD PONIEDZIAŁKU (10 bm.) w Łomżyńskim przebywa Główna Inspekcja Terenowa, której pracami obsiędzie kieruje gen. Edward Drzazga. W czasie dwutygodniowego pobytu GIT dokona kompleksowej kontroli działalności terenowych organów administracji państwowej oraz jednostek gospodarki społecznej, w tym spółdzielczości. Jej celem jest ocena procesów gospodarki, sprawności zarządzania, zgodności decyzji z obowiązującym prawem, ustalenie stopnia realizacji zadań nakreślanych w planach rocznych i pięcioletnich, wskazanie nieprawidłowości, marnotrawstwa oraz ustalenie przyczyn i osób za nie odpowiedzialnych, a także wychwycenie pozytywnych przykładów pracy, godnych naśladowania. Kontrola obejmuje: funkcjonowanie terenowych organów administracji państwowej, gospodarkę komunalną i mieszkaniową, komunikację i transport, budownictwo mieszkaniowe i towarzyszące, rolnictwo i gospodarkę żywnościową, handel i usługi, oświatę, wychowanie, kulturę, kulturę fizyczną, sport i rekreację, ochronę środowiska, opiekę zdrowotną i społeczną, zabezpieczenie mienia i ochronę przeciwpożarową. O przebiegu i wynikach pracy GIT informować będziemy na bieżąco.

40 ROCZNICA wyzwolenia Łomży oraz zadania dla KZ, POP, OOP związane z tą uroczystością były tematem narady i sekretarzy, zorganizowanej przez KM PZPR. Zapoznali się oni ponadto z sytuacją społeczno-polityczną w kraju i mieście, ustaleniami Egzekutywy KM PZPR dotyczącymi budowy szkół i przedszkół oraz informacją o przygotowaniach do rozpoczęcia nowego roku szkolenia partyjnego.

NAD CZYM PRACUJĄ terenowe instancje partyjne? Odpowiadają sekretarze.

▲ KMG PZPR w Zambrowie: — Na posiedzeniu Egzekutywy oceniliśmy akcję letniego wypoczynku dzieci i młodzieży oraz przyjęliśmy program szkolenia partyjnego na rok 1984/85. Komisja Współdziałania PZPR, ZSL i SD omawiała problemy samorządu. Najbliższe Plenum poświęcone zostanie kontroli realizacji uchwały KMG w sprawie budownictwa mieszkaniowego.

▲ KMG PZPR w Wysokiem Mazowieckim: — Egzekutywa, wspólnie z Prezydium Zespołu Radnych PZPR, omówiła ich zadania w Radzie Narodowej oraz rozpatrzyła materiały na posiedzenie plenarne, które zajmie się oceną stanu bezpieczeństwa publicznego, przestrzegania prawa i praworządności.

▲ KMG PZPR w Kolnie: — Tematem przygotowywanej Egzekutywy będzie umacnianie i rozwój miejsko-gminnej organizacji partyjnej na podstawie uchwał XIII i XIV Plenum KC PZPR oraz miejsko-gminnej konferencji sprawozdawczo-wyborczej.

PAMIĘCI WRZEŚNIA 1939 roku i bohaterom dowodzonym przez kpt. Władysława Raginisa została poświęcona patriotyczna manifestacja kombatanów społeczeństwa Łomżyńskiego w Władzie. Po apelu poległych, salucie kompanii honorowej

WP i złożeniu wieńców pod pomnikiem Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew” — zebrani przyjęli rezolucję, w której stanowczo sprzeciwiają się polityce zagrażającej pokojowi na świecie: „Krwą tysięcy poległych żołnierzy, mężczyzn, kobiet, starców, dzieci okupiliśmy nasze prawo do życia w wolnej, sprawiedliwej Polsce. Nie pozwolimy zniszczyć jej 40-letniego dorobku. Protestujemy przeciwko rewizjonistycznym zakusom sił imperialistycznych i odwołującym się na Zachódzie. Chcemy żyć, uczyć się i pracować w pokoju”. Wielu kombatanów i działaczy zostało uhonorowanych odznaczeniami, m.in.: Marian Goldyn — Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Kawalerskim — Piotr Chmielowski, Julian Kukło, Franciszek Lipiński, Zygmunt Zalewski, Andrzej Wozniak, Józef Tarnacki i Józef Parzonko.

DO NRD UDAŁA SIĘ — piąta już w tym roku — grupa młodzieży pracującej na dwutygodniowy obóz turystyczno-polityczny. Z tej formy wypoczynku skorzystało też około 250 uczniów, członków ZSMP.

ZAKOŃCZONO ŚLEDZTWO w sprawie kradzieży z włamaniem do wagonów kolejowych na stacji Racibory Nowe, gm. Szepietowo. Prokuratura Rejonowa w Wysokiem Mazowieckim skierowała akt oskarżenia przeciwko 22 osobom, wśród których znalazło się 7 paserów. Sprawcom włamań i kradzieży zarzuca się, iż w okresie od 1980 do 1984 roku zagarnęli mienie wartości 3 milionów złotych (licząc po cenach obowiązujących w chwili kradzieży). Łupem złodziei padły najczęściej odzież, alkohol, akumulatory, opony, części zamienne do maszyn rolniczych i samochodów, pralki automatyczne, meble, maszyny rolnicze i wiele innych przedmiotów. Najpoważniej obciążyli swe konto trzej pracownicy stacji PKP Racibory Nowe, wśród których znalazł się dyżurny ruchu. Dziewięciu podejrzanym grożą kary pozbawienia wolności od lat 5 do 25, kara grzywny i konfiskata mienia. Poza stałym — od roku do 10 lat pozbawienia wolności i kara grzywny.

PUNKT PORADNICTWA pielęgniarskiego został uruchomiony w Przychodni Rejonowej nr 1 przy ul. Armii Czerwonej w Łomży. Uzyskać w nim można poradę na temat pielęgnacji i odżywiania niemowląt i osób chorych, zmierzyc ciśnienie, wypożyczyć drobny sprzęt

medyczny (np. termometr, baseny, strzykawki do insuliny) oraz zasięgnąć informacji o stosowaniu przepisanych leków. Punkt (gabinet przybierający — I piętro) czynny jest codziennie w godz. 8.00—20.00, w wolne soboty — 8.00—15.00. Po poradę zgłosić się może każdy — nie obowiązuje żadna rejestracja.

ZNACZNIE TANIEJ niż w „zieleniakach” można zaopatrzyć się w owoce i warzywa na łomżyńskim targowisku. I tak np. kilogram jabłek kosztuje tu 40—60 złotych, slipek — 40, ogórków (małych, do kiszenia w słojach) — 50, pomidorów — 80—150, duży kalafior — 30. Tańsze są ziemniaki i kapusta. Pojawia się też dorodna rodzima papryka zielona po 350 złotych za kilogram.

WOJEWÓDZKI ZAKŁAD USŁUG Wodnych dla Rolnictwa w Łomży, mający w swej pieczy wodociągi na wsi, został dodatkowo obciążony konserwacją i eksploatacją urządzeń melioracyjnych i wodnych. W tym celu — jak informuje dyrektor Zakładu — powstaje dodatkowe zaplecze (budynek mieszkalny, magazyny, warsztaty). Wyposażenie w sprzęt jest skromne, toteż Zakład nie jest w stanie uporać się z czerwcowym i wrześniowym wykaszaniem rowów, dlatego chce wycofać się z tych najprostszych usług i przekazać je rolnikom. Dowiedzieliśmy się też, że istniejące studnie awaryjne, prócz jednej, nie posiadają pomp głębinowych, gdyż nie sposób ich kupić. Na terenie województwa istnieje 59 zbiorowych wodociągów, które zaspokajają potrzeby wsi tylko w 14 proc. Budowę nowych wodociągów skutecznie hamuje brak rur PCV oraz armatury.

WYREMONTOWANA i poszerzona droga Łomża—Nowogród została udostępniona zmotoryzowanym do października br. — zapewnia Rejon Dróg Publicznych w Łomży. — Powstanie również obwodnica omijająca Nowogród w drodze na Olsztyn. Także do października zostanie oddany do użytku kilometr drogi z Piątnicy do Czarnocina, a miesiąc później — kilometrowy odcinek ulicy w Małym Płocku.

WYKOPKI na ul. Sikorskiego w Łomży trwają. Wg informacji Rejonowego Przedsiębiorstwa Melioracyjnego — powinny zakończyć się do końca września br., o ile inwestorowi (Urząd Miasta) nie zabraknie pieniędzy.

PRZED ROZPOCZĘCIEM roku szkolnego WPHW w Łomży uruchomiło na placu Żeglarskim w Łomży specjalny kiermasz. Nie było kłopotów z kupnem zeszytów. Obuwia sportowego starczyło dla 3000 dzieci. Pewna ilość artykułów papierniczych spłonęła na zapleczu sklepu przy ul. Buczka (w nocy z 30 na 31 sierpnia br.).

MIESZKANCY DOMÓW sąsiadujących z bocznica kolejową w Łomży od dawna uskarżają się na chmury pyłu rozsiewanego przy rozładunku materiałów sypkich. Często są tam przypadki zachorowań na pylicę i różne odmiany alergii. Po sygnale redakcji Sanepidu obiecał interweniować w tej sprawie w Wydziale Ochrony Środowiska UW.

AŻ 30 691 PRZEWODÓW kominiarskich ma do przeczyszczenia 9 kominiarzy zatrudnionych w Krajowej Spółdzielni Pracy Usług Kominiarskich w Łomży.

JAJ NIE POWINNO nam zabraknąć. Białostockie Zakłady Jajczarskie z fermą w Łomży dostarczają na rynek 2 miliony sztuk miesięcznie. Norma przypadająca na jedną noskę — 240 jaj rocznie. W wielu regionach jajka są rarytasem. Może więc zwiększyć kurom normę?

gości li w Łomży

ANNA CZERWIŃSKA, córka Aleksandra Zawadzkiego. **EDWARD BRZOSTOWSKI**, wiceminister rolnictwa. **JAN ZEGRATOWSKI**, kierownik Wydziału Rolnictwa KC PZPR. **BLAŻEJ DZIURKIEWICZ**, przewodniczący Rady Zrzeszenia Przedsiębiorstw Przemysłu Ziemniaczanego — uczestniczyli w uroczystościach 40-lecia Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego w Łomży; **ISTVAN MORITZ**, kierownik Wydziału Wychowania Patriotyczno-Obronno-Komitetu Centralnego Związku Młodzieży Węgierskiej — wziął udział w pokolewnej manifestacji w Zambrowie z okazji 40 rocznicy napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę; gen. **NORBERT MICHAŁ**, członek Rady Naczelnej ZBoWiD — spotkał się z kombatanami podczas manifestacji w Władzie; **FRANCISZEK DĄBAL**, przewodniczący Rady Centralnego Związku Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” i **HENRYK PRZYGOCKI**, jego zastępca — spotkali się z przedstawicielami samorządów spółdzielczych.



PRZEDSTAWICIELE partii i stronnictw politycznych, kombatan i społeczeństwo Grajewa oraz Rajgrodu uczestniczyli w uroczystym odsłonięciu obelisku ku czci 100 żołnierzy Armii Krajowej i 3 Armii Czerwonej z desantu „Słownik 5”, poległych w nierównej walce z hitlerowskim najeźdźcą 8 września 1944 roku w pobliżu spacyfikowanej wsi Grzędy.

zdanie tygodnia

— Na szczęście dogadać się nie można tylko ze śmiercią.
Karol Modzelewski, rolnik z gminy Rutki

myśl z afestem

„Nie tam jest najgorzej, gdzie najwięcej się sarka, lecz tam, gdzie najmniej sarkać wolno.”

Tadeusz Kotarbiński



różnić się pięknie

Polska, prawie 37-milionowe państwo, mieści się w określonym geograficznie obszarze i funkcjonuje w określonym historycznie czasie. Sposób i poziom dalszej jej egzystencji oraz miejsce na politycznej, ekonomicznej i kulturalno-cywilizacyjnej mapie będą wyznaczać nie sentymenty, lecz polityczne i ekonomiczne realia.

Położona w sercu Europy — jest najbardziej narażona na skutki światowego konfliktu, musi więc polityką mądrych sojuszy i układów chronić swą egzystencję. W czasie pokoju musi w szczególności dbać o to, aby jej suwerenność gospodarczą nie doznała uszczerbku i dawała szansę optymalnego zaspokajania potrzeb obywateli oraz rozwoju.

Polakom nie brakuje miejsca ani bogactw naturalnych, a kraj, mimo licznych i głębokich potknięć, dysponuje znaczącym potencjałem gospodarczym, kulturalnym i naukowym. Polska Ludowa nie tylko zlikwidowała analfabetyzm, ale w sposób wręcz niebywały podniosła poziom oświaty; osiągnęła jednolitą etniczną; wyeliminowała, a przynajmniej zasadniczo zmniejszyła, obiektywne przyczyny ostrych podziałów społecznych — przez likwidację klas posiadających (w istocie pozostały tylko ich relikty oraz ograniczone pozostałości wpływów w życiu społecznym).

Państwa nasze ma więc — mimo światowego kryzysu i przejawów wewnętrznego załamania oraz nie wygasłych jeszcze emocji — warunki do znormalizowania sytuacji, a następnie podniesienia standardu życia obywateli i międzynarodowej pozycji społecznej.

Jeśli nie wszystko, to w każdym razie wiele jest w naszych rękach. Uprytomnijmy sobie i tę prawdę, że rozwojowi Polski, jej podstawowym interesom — gospodarczym i politycznym — zagrażają nie tylko restrykcje Reagana, ale także nasze subiektywne błędy i niedociągnięcia. Przykładem sprzedaż fiatów do Wielkiej Brytanii: koszt napraw gwarancyjnych pochłonął cały zysk dewizowy.

Takie szkody zagrażają interesom naszego państwa w sposób niezwykle niebezpieczny, a uniknięcie ich, już tylko przez rzetelne wykonywanie tego, co wynika ze społecznego podziału pracy, leży w naszych rękach.

Głęboko humanitarne cele i założenia państwa socjalistycznego nie mogą nasuwać wątpliwości. Te cele powinny więc zespalać wszystkich Polaków dobrej woli, nawet przy znacznych różnicach światopoglądowych. Powinny tym samym integrować. Rzeczywistość jest wszakże inna. W Polsce nadal istnieje rozbić społeczne, nadal występują głębokie podziały.

Kryzys ujawnił słabość mechanizmów sprawowania władzy w państwie, ale równocześnie sam wywarł wpływ na osłabienie struktury tej władzy, na rozchwywanie związków społecznych i zakłócenie społecznej komunikacji. Był więc skutkiem, ale i przyczyną pewnych zjawisk.

Spotykamy się w Polsce z istnieniem tzw. podziemia politycznego, choć — ze względu na liczebność, brak programu i oparcia społecznego — nie jest to siła polityczna, mogąca realnie zagrozić socjalistycznemu państwu. Proces normalizacji życia społecznego będzie coraz bardziej odbierał możliwość egzystencji podziemia.

W tym procesie stopniowego normalizowania życia nie można jednak, jak to jeszcze niejednokrotnie ma miejsce, utożsamiać odmienności poglądów z opozycją polityczną, nastawioną programowo na zwalczanie socjalistycznej władzy.

W ocenie poglądów ludzkich panuje zbyt wiele uproszczeń, zbyt wiele arbitralności w narzucaniu własnych. Przy generalnej akceptacji stanowiska, że różnorodność poglądów i krytyka są ważnymi czynnikami rozwoju myśli i poszukiwania optymalnych rozwiązań, pojawia się niejednokrotnie próba niedostrzegania, a nawet niechętnego traktowania tych poglądów, które nie odpowiadają przekonaniom decydujących. Cenę tego rodzaju tendencji ponieśliśmy już; została ona uznana za deformację, ale ciągle próbuje odżywać.

Bez różnorodności poglądów, bez ich ścierania się, nie można sobie wyobrazić rozwoju myśli ludzkiej. „Szlachetnie różnić się” — znaczy: uczciwie prezentować własne poglądy, bronić ich, ale szanować cudze. A wszystko pod wspólnym mianownikiem: realizacji celów i założeń socjalistycznego państwa.

miecz Damoklesa

W rozwoju społecznym można dostrzec i pewien paradoks. Z jednej bowiem strony występuje coraz sil-

egzystencja ludzkości tkwi więc w mądrym wykorzystaniu tych zasobów i w sprawiedliwym rozdziale dóbr.

Tymczasem jednak mnożą się napięcia, wzrasta zagrożenie światowym konfliktem, zwiększają się gwałtownie wydatki na zbrojenia. Coraz nowsza technicznie i bardziej kosztowna broń wciąga w niebezpieczną rywalizację.

Współczesny człowiek płaci więc wysoką, coraz wyższą cenę za naruszanie równowagi biologicznej środowiska, za jego zanieczyszczanie, za to, że dążąc do bardziej intensywniej eksploatacji — niszczy naturalne warunki egzystencji. Ale płaci także za niebezpieczną spiralę zbrojeń, prowadzącą przecież do samounicestwienia.

Czy ten katastrofalny obraz oznacza, że nad rozwojem ludzkości musi wisieć, jak miecz Damoklesa, fatalizm, w stosunku do którego jest człowiek bezbronny, czy też taka wizja powinna pobudzać wyobraźnię i wywoływać zapobiegające działanie? Odpowiedź na to pytanie wydaje się oczywista.

Jeśli ludzkość nie chce dopuścić do samozniszczenia, musi skutecznie



niejsze „uspołecznienie” naszego życia, wzajemne uzależnienie, a z drugiej — rozwój naraża nas coraz bardziej na egocentryzm, na pewne zasklepianie

Nie da się z pewnością porównać procesu starzenia człowieka z rozwojem społecznym, choć jednak pewne wnioski mogą mieć swój walor pouczający. Organizm ulega naturalnemu wyczerpaniu. Świadomy tego faktu człowiek musi bardziej racjonalnie gospodarować swoimi siłami, oszczędniej korzystać ze swoich biologicznych urządzeń.

Niewątpliwym jest fakt, że spotykamy się z nowymi jakościowo zjawiskami demograficznymi. Dzięki osiągnięciom medycyny — życie człowieka ulega przedłużeniu i zmniejsza się śmiertelność. Ale równocześnie wzrasta gwałtownie prokreacja. Zasobów naturalnych nie przybywa, a nawet trzeba zakładać ich stopniowe wyczerpywanie się. Dalsza

zabiegać o odsunięcie tej groźby. Świadomość takiego obowiązku powinna mieć charakter powszechny. Z tej konstatacji płyną wnioski użyteczne i dla nas, Polaków. Konfliktogenność świata, wzrost napięć pochodzących z zewnątrz, przenika i oddziałuje na sytuację wewnętrzną Polski, zarówno w sferze gospodarczej, jak i politycznej. Ze względu na położenie Polski — zagraża jej bezpieczeństwu.

Z doświadczeń historii duża część Polaków przyjmowała wiarę w realność tego, co niemożliwe, nauczyła się mieć nadzieję wbrew nadziei — *spem contra spero* — i dlatego nie ma powszechnego charakteru zrozumienia dzisiejszego zagrożenia na tle światowego napięcia. Wiara i wola przetrwania to czynniki psychologiczne, a w konsekwencji — i w tym kontekście — politycznie niezwykle ważne.

Powinny one jednak łączyć się z trzeźwością w ocenie sytuacji i mądrym do niej ustosunkowaniem się.

Do tego wszakże konieczny jest zbiorowy wysiłek, dla którego, z kolei, potrzebne jest wzajemne porozumienie i zrozumienie. Nie można bowiem dopuścić do przewagi emocji nad racjonalnym myśleniem, do tego, by — wbrew interesom ogółu — dominowały nieżyczliwość, niechęć, nierzadko nawet wrogość.

litości dla potomnych

Uwaga powyższa nie ma charakteru abstrakcyjnego bądź doraźnego, lecz wywodzi się z gorzkich doświadczeń historii.

Jeden z najwybitniejszych XVI-wiecznych humanistów i retorów, ks. Stanisław Orzechowski — w głośnej mowie nad grobem Króla Zygmunta Starego — wypowiedział (nieco archaicznym językiem) myśli nadal aktualną: „Ojcowie Ojczyzny! Bogdajby kiedyś to zacne królestwo wia waszych smutnym nie przypaściło upadkiem! Bogdajby ten nędzny naród nie legł ofiarą zawrotu kilku głów przebujanych! Przedobę, przecięz więcej wazcie publiczną catość nad szczególną urazy! Poskromcie zuchwałe namiętności najświętszych obowiązków wędzidłem. Okiełznajcie, powściągnijcie zhukany umysł! Zlitujcie się nad Rzeczypospolitą, ukochaną Ojczyzną waszą, nad narodem, nad współobywatelami, nad sobą samymi, nad krwią waszą, nad ulubionym potomstwem! Poświęćcie tylu czułym względem nikczemne nienawiści! Płonny wstyd niechaj nikogo nie wstrzymuje. Wybaczenie sobie nawzajem! Buja nie wa usług publicznych rodzi okazalsze wawrzyny niż zwiedły i wyblakły bluszcz, za którym uganiacie się na wyścigi po dzikich i wymarnionych tlokach prywaty!” („Mowy”, wyd. Jan K. Turowski, Sanok 1883, s. 128).

W przedmowie do „Dziejów Polski w zarysie” Michała Bobrzyńskiego (PIW, Warszawa 1977, wyd. II, s. 9) autorzy opracowania pisali: „Historia nie może uciec przed refleksją, czy to wszystko, co dla pokoleń Polaków po upadku dawnej Rzeczypospolitej jawiło się jako tytuł chwały, owa wizja dawnych wolności i cnót obywatelskich, była wartością, czy utudą; wciąż wraca do dylematu, czy ta, tylekroć przechwalana polska wolność nie stała się grobem państwa, nie była „Dejaniry palącą koszulą”, (za Juliuszem Słowackim — przyp. aut.) Szujski, słowem nie może przejść do porządku nad problemem, czy własne winy, wady ustrojowe i grzechy samych Polaków nie były czynnikiem sprawczym ich politycznej katastrofy? Czy lekceważenie rządu, lekceważenie znaczenia władzy państwowej nie doprowadziły Polaków nad brzeg przepaści? Wokół tych wielkich pytań skupiała się cała bogata, wielokierunkowa polska myśl historyczna czasów porozbiorowych, wypowiadająca się w dziejopisarstwie, w literaturze pięknej i sztuce”.

Sam zaś Michał Bobrzyński powiedział: „Naród nasz wyzdrowiawszy już moralnie pod wpływem rozbiorów, wyrobiwszy w sobie miłość publicznego dobra, musiał sam siebie zapytać, dlaczego i teraz cała działalność nowymi się kończy klęskami, musiały wejść głębiej w siebie i poszukać w dziejach swej przeszłości, obok upadku moralnego, innych jeszcze wad i grzechów, z których się dotychczas nie wyleczył i które ciąży nad nim, krepując całą jego obecną działalność” (s. 49).

Te myśli wypowiedzieli nie marksiści i nie pod wpływem gorzkiej lekcji dzisiejszego kryzysu. Warto więc je uwzględnić w kształtowaniu historycznej świadomości Polaków. Być może przy tej refleksji rodzi się pytanie: dlaczego tak wspaniałe dzieło myśli politycznej i prawniczej, jakim była „Konstytucja 3 Maja”, powstałe wprawdzie jako produkt odrodzenia Polaków w walce z przeciwnikami, doszło do głosu tak późno, bo w chwili upadku jej politycznej egzystencji?

ZDZISŁAW
CHESZEJKO-SOCHACKI

polskie podziały i pojednania



ubezpieczenie płatne w raju

Odpowiadając na notatkę prasową pt. „Bezpiecznik”, zamieszczoną w „Kontaktach” nr 27 z 8 VII 1984 r. Oddział Wojewódzki Państwowego Zakładu Ubezpieczeń w Łomży informuje, że w wyniku postępowania wyjaśniającego ustalono, iż gospodarstwo rolne pozostałe po śmierci ob. Franciszka Bielawskiego z miejscowości Uścianki nabył, w 1981 roku, ob. Piotr Nasiadka. Nowy właściciel nie powiadomił o tej zmianie Inspektoratu PZU w Grajewie.

Ponadto stwierdzamy, że nie odnotowano żadnych zaległości z tego tytułu w opłacie składek. Należne opłaty uiszczał ob. Piotr Nasiadka. Obecnie całość dokumentacji ubezpieczeniowej figuruje na nowego właściciela.

KRZYSZTOF GAWROŃSKI
NACZELNIK
WYDZIAŁU UBEZPIECZEŃ

papierowy lament trwa

Historią boję państwa Sienkiewiczów o poszerzenie działki zainteresowałem się ze względu na powszechność tego typu perypetii. By nie być gołosłownym, przytoczę parę przykładów.

Mieszkaniec Łomży postawił samowolnie obok swojego budynku przy ulicy Mickiewicza przybudówkę. Zaprotestował na to Eugeniusz Tomaszewski, sąsiad Jana Dębowskiego. Urząd Miasta, po rozpatrzeniu skargi, piórem ówczesnego wiceprezydenta, Jana Cychola, nakazał rozebrać przybudówkę do 1 sierpnia 1982 roku. 23 września 81 r. Jan Dębowski wniósł o wznowienie postępowania oraz o zalegalizowanie przybudówki. Prezydent 19.10.1981 r. odmówił wznowienia postępowania, tym bardziej, że Jan Dębowski wniósł o nie po terminie przewidzianym na odwołanie. Wojewoda łomżyński 14 listopada 1981 r. również utrzymał w mocy decyzję prezydenta. Wówczas Jan Dębowski zaskarżył decyzję wojewody do Naczelnego Sadu Administracyjnego. Ten, 14 kwietnia 1982 roku, kazał wznowić postępowanie. Wojewoda łomżyński nie uwzględnił prośby Jana Dębowskiego, gdyż jego tłumaczenia na temat nieodwołania się w przepisowym terminie nie były wiarygodne. Do sprawy zostało wciągnięte Ministerstwo Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska, które przekazało sprawę do ponownego rozpatrzenia. Wojewoda łomżyński — pod tą presją — 11 września 1982 r. odroczył decyzję o rozbiórce.

Minęła pierwsza rocznica sporu o przybudówkę. Po raz drugi na scenę wkroczył NSA (8 marca 1982 r.) wskazując wiele błędów w rozpatrywaniu tej sprawy (naruszenie przepisów postępowania administracyjnego). W związku z tym wiceprezydent Łomży w dniu 20 sierpnia 1983 r. pozwolił na „czasowe użytkowanie przybudówki”. Tę decyzję zatwierdził wojewoda w dniu 25 października 1983 r. Z kolei Eugeniusz Tomaszewski odwołał się do NSA; 12 marca 1984 r. Sąd uchylił obie decyzje, wojewody i prezydenta, gdyż: „Decyzje organów administracji obu instancji wydane zostały z naruszeniem prawa materialnego, w szczególności art. 42 prawa budowlanego, który nie przewiduje „pozwolenia na czasowe użytkowanie obiektu”.

Na początku sierpnia br., po raz któryś z kolei, odwiedził mnie Eugeniusz Tomaszewski; pokazał decyzję Urzędu Miasta nakazującą rozbiórkę przybudówki. — Termin minął i nic. Co mam teraz robić? — pyta Tomaszewski. — Skoro można postępować bezprawnie i śmiać się z decyzji urzędu państwowego, wezmę kilof i rozwalę przybudówkę, co?

Tylko wyszedł z redakcji pan Tomaszewski, gdy przybył Ryszard Załuska z Jedwabnego — jeszcze jedna ofiara administracyjnego labiryntu. Otóż 16 marca 1984 r. zwrócił się do Urzędu Miasta i Gminy w Jedwabnem o rozebranie stodo-

ly stojącej od przedwojnia, grożącej w każdej chwili zawaleniem i przysięgnięciem bawiących się w pobliżu dzieci. Stodołę (z już zawaloną więźbą dachową) kupił od poprzedniego właściciela (ponad pięć lat temu) sekretarz UMIG w Jedwabnem — Tadeusz Dmoch. Urząd Wojewódzki w Łomży wyznaczył do rozpoznania sprawy i wydania decyzji naczelnika gminy Piątnica. Naczelnik nakazał (w dniu 31 maja 1984 r.) rozebranie nie użytkowanego, walącego się, murowanego budynku gospodarczego do 30 czerwca 1984 r. Od tej decyzji odwołał się Tadeusz Dmoch.

Urząd Wojewódzki w dniu 18 lipca br. uchylił zaskarżoną decyzję w całości i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia przez organ pierwszej instancji, uzasadniając to posiadaniem przez Tadeusza Dmocha niezbędnych materiałów budowlanych do poprawienia stanu technicznego budynku. Decyzja ta, wydana 18 VII 1984 r., była ostateczna. Do końca lipca zainteresowany Ryszard Załuska jej nie otrzymał. Dopiero po jego osobistej interwencji w Urzędzie Wojewódzkim w dniu 29 lipca br. przypominano sobie o obowiązku przesłania stosownego pisma. Zostało ono doręczone przez listonosza (potwierdził to swoim podpisem) 1 sierpnia br., a więc już po uprawomocnieniu się decyzji. Przypadek?

Ryszard Załuska 3 VII 1984 r. poprosił o wstrzymanie pospiesznej prowizorycznej naprawy stodoły, do której Tadeusz Dmoch przystąpił bez planu i pozwolenia budowlanego. Naczelnik gminy Piątnica ponownie przybył do Jedwabnego i wydał decyzję o wstrzymaniu budowy do czasu uzyskania takiego zezwolenia. Ryszard Załuska przedstawił mi oświadczenia kilku świadków, którzy słyszeli, jak Tadeusz

Dmoch — na okazaną mu decyzję naczelnika Piątnicy — powiedział: „Możesz sobie tym tylek podetrzeć”. Wobec powyższego uprasza się Czytelników, by nie zgłaszali się do redakcji z tego typu problemami. Nie jesteśmy w stanie niczego sensownego doradzić. Papierowy lament trwa!

ADAM JERZY SOCHA

sprzedaż wiązana

Uprzejmie informujemy, że w „Więściach gminnych” („Kontakty” nr 29/84) zamieszczono, niezgodną z prawdą, notatkę na temat sprzedaży związanej, której przypadki należą już do bardzo odległej przeszłości. Zakład Gospodarczy Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych „Samopomoc Chłopska” w Grajewie nigdy nie proponował GS-owi w Trzciannem takiej formy sprzedaży, tym bardziej w zakresie artykułów chemii gospodarczej, jako że nie posiadał i nie posiada ich nadmiernych zapasów. Sprzedaż tych artykułów odbywa się w oparciu o zamówienia naszych odbiorców.

MGR HENRYK ŚWIDERSKI
DYREKTOR

ale wstyd

W związku z notatką prasową, zamieszczoną w rubryce „Więści gminne” („Kontakty” nr 29/84), dotyczącą zanieczyszczenia środowiska wodnego, pragnę poinformować, że na terenie województwa łomżyńskiego do Biebrzy nie spływają za-

nieczyszczenia z ferm bydła w Sułinie i Gradach Wonięcku, ponieważ, jak wiadomo, znajdują się one na lewym brzegu Narwi. W latach ubiegłych notowano przypadki zanieczyszczenia gnojowicą właśnie jej wód. W 1983 r. wyeliminowano (w drodze nakazów oraz postępowania prokuratorskiego) możliwość przedostawania się gnojowicy do Narwi. Fermy przestały więc zagrażać czystości rzeki. Utrzymanie w sprawności urządzeń służących ochronie wód jest w tych gospodarstwach pod naszą stałą kontrolą.

INŻ. HENRYK MILEWSKI
DYREKTOR WYDZIAŁU
OCHRONY ŚRODOWISKA,
GOSPODARKI WODNEJ
I GEOLOGII
URZĘDU WOJEWÓDZKIEGO
W ŁOMŻY

melioracyjne kłopoty

Wojewódzki Zarząd Inwestycji Rolniczych w Łomży z siedzibą w Zambrowie odpowiadając na publikację prasową pt. „Bezpiecznik”, zamieszczoną w „Kontaktach” z 24 VI 1984 r., informuje:

Gminna Spółka Wodna w Grajewie obejmuje swym działaniem urządzenie melioracji szczegółowych na terenie gminy, których stan ewidencyjny wynosi:

- rowy użytków rolnych — 354 km,
- drenowanie użytków rolnych — 1009 ha.

Do 1982 r. wykonawstwo konserwacji urządzeń melioracyjnych na terenie tej Spółki prowadziło Regionalne Kierownictwo Robót Konserwacyjnych w Grajewie, a w roku 1983 — w związku z reorganizacją systemu wykonawstwa — Wojewódzki Zakład Usług Wodnych w Łomży. Rozmiary rzeczowe konserwacji nie były w pełni wykonywane, gdyż w 1981 r. wykonano 65 proc., w 1982 r. — 80 proc., a w 1983 r. tylko 60 proc. Jedną z przyczyn był brak środków finansowych w Spółce Wodnej ze względu na niskie składki, które w tych latach wynosiły odpowiednio 290 złotych za hektar zmeliorowany rowami i 90 złotych za hektar zdrenowany, 600 i 200 złotych oraz 700 i 300 złotych.

W związku z niewykonaniem planu konserwacji Walne Zgromadzenie Gminnej Spółki Wodnej postanowiło, iż w bieżącym roku konserwację urządzeń wykonywać będą rolnicy we własnym zakresie — systemem odrobku — i uchwaliło składkę w wysokości 100 złotych na utrzymanie fachowca, który organizowałby im prace.

Jednocześnie informujemy, iż nie nastąpiło rozwiązanie Spółki w Grajewie, a jedynie nie zlecono jej robót.

INŻ. WITOLD WOJTAŁ
ZASTĘPCA DYREKTORA
ds. EKSPLOATACJI

apel o czyn społeczny

W odpowiedzi na notatkę prasową, która ukazała się w rubryce „Więści grodzkie” („Kontakty” nr 29/84) Kuratorium Oświaty i Wychowania Urzędu Wojewódzkiego w Łomży wyjaśnia, że rozbudowa szkoły w Nowogrodzie została przewidziana w kuratorskim programie rozwoju bazy oświatowej na lata 1988—91. Wcześniejsza realizacja tego zadania, mimo że poprawa warunków lokalowych tej szkoły jest sprawą pilną, nie może być prowadzona ze względu na ograniczone wielkości nakładów. Jedynie jako inwestycja czynowa miałaby szansę przyspieszenia. Lecz uwzględnienie jej w programie czynów społecznych uzależnione jest przede wszystkim od stanowiska społeczeństwa miasta i władz lokalnych.

Modernizacja tego budynku ściśle związana jest z jego rozbudową. W dobudowanej części znajdują się m.in. sanitariaty i kotłownia zasilająca centralne ogrzewanie.

Rozpoczęcie prac modernizacyjnych i remontowych przewidziane jest na 1986 rok.

MGR BOLESŁAW PODOBIŃSKI
WICEKURATOR
OŚWIATY I WYCHOWANIA



Kiedy pierwszego sierpnia na biurku dyrektora Muzeum Okręgowego zadzwonił telefon, nie zapowiadało sensacji. Rozmówca kończąc służbową rozmowę zagałnął dyrektora, czy już wie o znalezieniu monet w Przytułach. Nie wiedział. Usłyszał więc, że podobno dwa tygodnie temu, podczas robót budowlanych, znaleziono garnek z monetami, także — złotymi; podobno część monet znalazły oddali miejscowemu proboszczowi. Niestety, telefon na plebanii milczał przez dwie godziny. Dyrektor musiał udać się do Skansenu w Nowogrodzie, więc przekazał wiadomość do Biura Badań i Dokumentacji Zabytków z prośbą o wyjaśnienie sprawy z proboszczem. Biuro, nie mogąc również dodzwonić się na plebanie, wysłało samochodem swego pracownika, aby rozejrzał się na miejscu.

Drugiego sierpnia dyrektor od rana miał wizytę pracowników Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łomży. Sprawdzali, czy ktoś z Muzeum odebrał od ludzi pracujących przy budowie w Przytułach cztery srebrne monety. Podejrzewali, że ktoś ze „zbieraczy” mógł się podszyć pod państwową firmę. Na szczęście rzecz się szybko wyjaśniła. Był to pracownik Biura. Monety trafiły do Muzeum, a „zbieracz” złożył stosowne zeznanie w RUSW.

Tu też, na krótkiej naradzie, okazało się, że śladem pracownika Biura, niezależnie od niego, podążył komendant Posterunku MO w Jedwabnem. Informacje milicji uzyskane ze zgola innych źródeł, były wcześniejsze i pełniejsze, gdyż już częściowo sprawdzone. Okazało się, że teren pod budowę przygotowywali rolnicy jednej z okolicznych wsi. Sam skarb znalazło dwóch z nich. Szczegóły te potwierdził też na miejscu pracownik BBiDZ. Milicja wiedziała na pewno, że skarb został znaleziony w maju, gdyż żona jednego ze znalców w połowie maja dała cztery złote monety łomżyńskiemu złotnikowi w celu zrobienia z nich biżuterii. Zapis w jego książce nie kłamał. Przyjął złoto i wykonał biżuterię. Potwierdziło się więc, że było złoto. Cztery odzyskane od rolników srebrne monety to dwumarkówka Krystyny szwedzkiej oraz orł gdański i dwa szóstaki koronne — trzy ostatnie Jana Kazimierza; słowem XVII wiek.

Krótką naradę prowadził zastępca szefa RUSW — kapitan Ryszard Radkowski. Trzeba zobaczyć na miejscu, co jeszcze zostało u ludzi, sprawdzić też u proboszcza i złotnika. Na wszelki wypadek prokurator podpisał nakazy rewizji. Koło południa terenowym UAZ-em wyjechali: porucznik Tadeusz Kuć i sierżant sztabowy Józef Baldyga z RUSW oraz gospodarz terenu, komendant Posterunku w Jedwabnem, starszy sierżant Jan Kozłowski, z kierowcą — plutonowym Witalisem Wasylukiem.

Zła to pora: żniwa; zanim dojechali, ludzie — po przerwie obiadowej — byli znów na polach. Ale trzeba było się spieszyć; nieplanowany wyjazd amatorskiego detektywa mógł pokrzyżować szyki. W Jedwabnem zastali informację: proboszcz w ciągu dnia lub dwóch przekaże monety otrzymane od pracowników.

Rychło ekipa znalazła się na miejscu. Wieś B. jest niewielka, ale pełna nowych domów i budynków gospodarczych; widać — zasobna. Starszy sierżant Kozłowski imponuje znajomością swego terenu. Jego Posterunek, łącznie z nim, liczy 3 pracowników, a zasięgiem działania obejmuje 73 wsie!

Zaczęła się wędrówka po gospodarstwach i rozmowy z tymi, którzy pracowali przy budowie. Dziwne te rozmowy. Jeden, szczerząc się, żałował, że był wtedy chory, bo może sam coś by sobie znalazł. Nikt nie pamiętał, kiedy to było, wszyscy pracowali jak najdalej od znaleziska. Owszem, ci dwaj, którzy skarb znaleźli, pokazali im jakieś „blaszki”.

Ile było tych monet? No, dwie złote dlonie. Ale ile na sztuki, tak na oko? Może z dziesięć. Kiedy na złote dlonie spadły cztery — wcześniej odzyskane — monety w garściach została zbyt wielka pustka, rozmówca się poprawił: — No, musi o ich było więcej, może 40—50.

Pytający też nie wiedzieli, ile mogło być tych monet; nie było wiadomo, także ile miał do przekazania proboszcz. Wszyscy od szczęśliwych znalców pobrali po jednej, po dwie — „na pamiątkę”, ale się gdzieś zapodziały; a to dzieci do szkoły zanosły, a to do zabawy wynosiły i zagubiły. Jeden wziął do szkoły średniej, aby pokazać kolegom, ale ktoś mu je ukradł razem z portfelem i dwoma tysiącami, które dostał od ojców na utrzymanie.

— A złoto?
— Ano, ludzie gadali, że było. Nikt nie widział, ale może i było.

nych dowodów, mimo że chodziło tylko o... dowód osobisty, potrzebny przy sporządzaniu protokołu przesłuchania. To właśnie ona dała złote monety na biżuterię.

Jan W. „szedł w zaparte”: był garnek z „blaszkami”, trochę pobrali ludzie, resztę oddali proboszczowi. Złota nie było, to tylko ludzkie wymysły. A skąd miała żona złoto? Nie wie, niech pytają żonę.

Pytali. Zeznała, że złoto dostała od mamusi, która ją najbardziej kocha. Mamusia miała to złoto jeszcze od swojej mamusi. A jubilerowi da-

przesłuchania. Odprowadzony na bok mąż, aby nie przeszkadzali sobie wzajemnie, co rusz surowo przestrzegał żonę, aby nie gadała za dużo, bo zawsze lubi gadać. Ale ona miała niewiele do powiedzenia. Na pytanie o złoto — tylko się „obśmiała”. A skąd by je miała wziąć? Od swej matki? A ta skąd? Gdyby chociaż nieboszczka matka w Ameryce był! Wtedy padł koronny argument: jak mogła dać córce złoto, kiedy zięć, choć to już tyle lat po ślubie, jeszcze dziś wymawia córecę, że w wianie nawet szafy nie wnosił! Jakby mieli złoto, to i szafa by była.

Ta więc sprawa się wyjaśniła. Odzyskano dwie kolejne monety i potwierdzono pogłoskę, że złoto w znalezisku było. Wypadało koniecznie odzyskać złote monety od złotnika. Nikt ani przez chwilę nie wierzył, że mógł je przetopić. Fachowiec doskonale powinien zdawać sobie sprawę z faktu, że wartość numizmatyczna przekracza wartość kruszczową. Łatwo też można było sprawdzić, czy w wykonanej biżuterii jest złoto tej klasy, co w starych monetach.

W piątek, trzeciego sierpnia, dyrektor Muzeum otrzymał informację, że w RUSW znajduje się już skarb przekazany przez proboszcza: 710 monet oraz cztery złote, oddane przez złotnika.

W poniedziałek w RUSW odbyły się radosne oględziny i wstępna segregacja odzyskanych monet. W zbiorze przekazanym przez proboszcza było kilka orłów, ponad 90 szóstaków, trojaki i grubo ponad pół tysiąca półtoraków — wszystkie z czasów panowania Wazów, Zygmunta III i Jana Kazimierza. Nie było monet Władysława IV, znalazły się za to „rodzynki”: półtoraki Krystyny i Gustawa Adolfa — szwedzkie pieniądze okupacyjne. Złote monety pasowały czasem emisji do reszty — dwa niderlandzkie dukaty: jeden któregoś z państw niemieckich z XVII wieku i jeden, niewiele starszy, węgierski z końca wieku XVI. Złote dobrze zachowane w kruszcu wysokiej próby; reszta — srebrna, choć srebro gorsze; nie był to najlepszy czas dla dobrego pieniądza.

W środę, ósmego sierpnia, po przeliczeniu i sporządzeniu protokołów, całość przekazano Muzeum Okręgowemu. To już drugi — niecodzienny — skarb monet odzyskany dzięki pomocy milicji.

Nikt dziś nie dojdzie, ile monet liczył skarb w chwili znalezienia i z jakich składał się monet. Jakże monety były brane na pamiątkę i rozproszone beztrosko? Rzecz ciekawa, że te „pamiątkowe” są z reguły większe, mniej uszkodzone i o większych nominalach niż masa oddana proboszczowi. Wynikałoby z tego, że na plebanie trafiły już przebrane.

Można zrozumieć postawę prostych ludzi, którzy polakomili się na znalezisko; trudniej pojąć zachowanie dwóch, zdawałoby się, światłych ludzi. Od połowy maja ponad 700 zabytkowych monet o wielkiej wartości poznawczej i historycznej spoczywało na plebanii. Wystarczył przecież telefon do Muzeum, z którym poprzedni proboszcz dobrze współpracował, telefon do naczelnika czy na posterunek MO, aby wcześniejsze próby przejęcia skarbu skończyły się lepszym efektem. Być może informacja o przekazaniu monet i zachęta ze strony proboszcza dodatkowo wpłynęłyby na wiernych i skarb nie poszedłby w rozsypek. Równie trudno pogodzić się z milczeniem złotnika, który przecież doskonale wiedział, co trafiło do jego rąk i co należało z tym zrobić.

Podczas rozmowy przy kawie rozmarzył się dyrektor Kunicki: — Może i w naszym województwie jakieś znalezisko monet rafi do Muzeum normalną drogą, zgłoszone przez znalazcę. Wówczas będzie można pochwalić taki czyn publicznie, wystąpić o nagrodę, wręczyć komuś odznakę „Za opiekę nad zabytkami”, przyznawaną przez ministra Kultury i Sztuki...

Na razie wystąpił o takie odznaki dla funkcjonariuszy RUSW, bo wiem to oni stali się u nas dodatkowo ochraniającymi zabytków. Sześciiodniowa akcja, trafnie nazwana „Dukat”, przysporzyła Muzeum, czyli polskiej nauce, ponad 700 eksponatów numizmatycznych.

MACIEJ BRUDZEWSKI

AKCJA



„DUKAT”

Aż jeden nie wytrzymał: — Pano wie, co wy się tak pytacie? Przecież dobrze wiecie, kto ma to złoto!

Zmudna pielgrzymka po chałupach przyniosła raptem dwie nowe monety: kolejny orł gdański i piękny (jak się później okaże — jedyny) orł litewski. Jedną z monet „właściciel” oddał wręcz z ulgą, gdyż był przekonany, że milicja będzie pytać o przyznany ciągnik, za który, jak żli ludzie gadają, dał w łapę.

Najcięższą przeprawą miała miejsce u jednego ze znalców — Jana W. Ten miał swój pogląd na sprawę. Żonę upominał, aby milicjantom nie dawała żąd-

ła cztery małe monetki, takie jak złote dwuzłotówki, i krzyżyk złoty na dokładkę.

Kiedy milicjanci w kolejnym obejściu bezskutecznie szukali (żniwujących na polu) gospodarzy, żona Jana W. wyciągniętym klusem zdążyła w kierunku jedynego we wsi telefonu. To wystarczyło. Ekipa natychmiast ruszyła do wsi S., położonej z drugiej strony Jedwabnego; tam mieszka „złotodajna” mamusia.

Obejście ma uboższe niż córka. Synek Jana W., spędzający tu wakacje, zaprowadził samochód na pole, gdzie pracowali dziadkowie. Przerwali na chwilę żniwowanie i na skraju łąki, pod głowiatymi wierzbami, milicjanci przystąpili do

obcycające



KRYTERIA PARTYJNOŚCI

Oczywiście, mylić się jest rzeczą ludzką, ale nie może to usprawiedliwiać każdego niepowodzenia. Małe dziecko uczy się poznawać świat krok po kroku, oddziela dobro od zła. Doświadczenie zdobywa z czasem, na kolejnych etapach procesu wychowania i przysposobienia do życia w społeczeństwie: dom, szkoła i wreszcie praca. Zderzenie z rzeczywistością często bywa bolesne, pozostaje po nim niejeden guz. Przychodzą chwile wątpliwości, zawód, utrata wiary w sens własnego działania. Rodzi się pytanie: po co?

Natura pcha człowieka do ludzi. Bycie potrzebnym, aprobaty środowiska, możliwość realizowania własnych zainteresowań — to naturalne podstawy ludzkiej egzystencji. Ludzie chcą być razem. Najważniejsza funkcja społeczna jakiegokolwiek grupy, związku, organizacji polega na przekazywaniu jednostce wartości kształtujących jej osobowość. Grupa stwarza więc warunki identyfikowania się z całą zbiorowością przez kształtowanie światopoglądu i naukę osiągania celów przy pomocy określonych metod. Grupa wymaga także przestrzegania swoich norm, a od jednostek oczekuje postawy konformistycznej, czyli podporządkowanego tym zasadom. Grupa ocenia zachowania członków, stwarzając pewien rodzaj kontroli. Tak więc każdy członek jakiejś organizacji — dla utrzymania się w niej — musi swoim postępowaniem udowodnić, że akceptuje jej cele, normy, program działania.

Każda grupa społeczna ma do spełnienia określone funkcje, wyróżnia się swoistym składem społecznym, światopoglądem. Specyficzna rola przypada organizacjom o charakterze politycznym, a szczególnie PZPR. 22 lata temu chciałam realizować swoje życiowe ideały i dlatego wstąpiłam do partii. Sądziłam, że jest ona taką organizacją, w której najpełniej będę mogła „się wyżyć” w pracy społecznej; organizacją będącą najbliższą ludzkich problemów. Wydawało mi się, że wszyscy posiadający czerwone legitymacje myślą tak samo, jak ja, mają podobne do moich wyobrażenia o czekających ich zadaniach, bo taki w końcu przyswiera cel każdej organizacji. A więc członkowie partii jawili się jako ludzie porządni, bezinteresowni, ze społecznikowską pasją we krwi, gotowi do poświęceń, ze świadomością spełnienia w społeczeństwie niezwykle ważnej roli. Ta właśnie partia miała spełniać kierowniczą rolę w państwie, o czym mówiły broszury, podręczniki, zebrań i uroczystości „z okazji”. Ciągłe ktoś o tym przypominał.

Z perspektywy mojej przynależności do PZPR muszę przyznać, że pewna cecha mojego charakteru utrudniała mi zarówno pracę zawodową, jak i działalność partyjną: zawsze wierzyłam ludziom. Jeżeli ktoś zobowiązywał się do czegoś, nie wyobrażałam sobie,

Odkąd świat światem, a człowiek człowiekiem — istnieje dobro i zło. Każdy z nas inaczej je postrzega, ale są pojęcia, które dla wszystkich mają jednakowe — lub przynajmniej podobne — znaczenie: odpowiedzialność, zaangażowanie, koleżeństwo, współpraca, wzajemna pomoc, uczciwość, zdyscyplinowanie. Te wszystkie czynniki skupiają się w procesie pracy. Celem każdego świadomego działania jest jakaś zmiana. Zwyczajne życie pokazuje na co dzień, że człowiek to istota, niestety, niedoskonała i do wielu odkryć dochodzi metodą prób i błędów.



aktywnych i ofiarnych, których obowiązuje dyscyplina partyjna.

Partia to ludzie. Jacy oni są, taka jest jej rola i miejsce w systemie politycznym. Ktoś mógłby zarzucić mi, że teoria teorią, a życie życiem;

tykowano przywódców, a gdzie byli wtedy ci, którzy przyklaskiwali błędnym decyzjom, myli ręce po zebraniowym kurzu i spieszyli do swoich przyjaciół, aby im „załatwiali” i „obiecywali”. A że tam ko-

ALICJA KARPIŃSKA

stąpienie po błędach

że może tego nie wykonać. Niestety, przyszłość okazywała się inna. Oczywiście, trudno oceniać jednoznacznie wszystkich członków ponad dwumilionowej organizacji, dlatego też sądziłam, że przynajmniej ci, z którymi stykam się na co dzień, są inni: nie można im nie zarzucić, żadnej rysy, żadnego pęknięcia. Ideałów nie ma, ale pewne normy przynajmniej w teorii zobowiązują do zgodnego z nimi postępowania. Zawiera je Statut PZPR, który wymaga — według mnie — kryterium partyjności.

I tu natychmiast przychodzi mi na myśl leninowska koncepcja partii komunistycznej, pewien model idealny, lecz stale przypominający o powinnościach jej członków, a tym samym — zmianach rzeczywistości coraz bliższych teoretycznym założeniom. Według Lenina — partia marksistowska powinna być partią awangardową klasy robotniczej, tzn. skupiać ludzi najbardziej świadomych, z ogromną kulturą polityczną,

że nie da się podporządkować wszystkim sytuacjom punktom, paragrafom, rozdziałom Statutu czy innego dokumentu określającego istnienie danej organizacji. Trudno się z tym nie zgodzić, ale przecież po to tworzy się przepisy i modele, żeby nie zapanował chaos, żeby mieć się do czego porównać.

Rok 1980 najdobitniej pokazał rozchodzenie się drogi teorii i rzeczywistości. Jaka była PZPR — odpowiedziała w swoim proteście klasa robotnicza. Przyszła czas na rachunek sumienia, zarówno dla tych na górze, jak i na dole. Mogliśmy policzyć ile padło pustych słów, co znaczyły niczym nie poparte hasła, jak bardzo daleka stała się partia klasy robotniczej wobec oczekiwań w ustroju sprawiedliwości społecznej. Pytałam siebie: gdzie więc była ta awangarda, ta jej jedność myślenia i działania, sumienie, odpowiedzialność za losy narodu? Kry-

musz dzieje się krzywdy? Wytrzymał tyle, może jeszcze poczekać. Skoro wybrano mnie do władz, niby czemu mam nie mieć przywilejów. Przecież ja też „pracuję”, „troszczę się”, „dyskutuję”, „chodzę na zebrań”. Szlag mnie trafiał, gdy widziałam takie sytuacje, ale przecież bałam się tak samo, jak inni.

W naszej organizacji legitymacje oddały trzy osoby. Uważam, że lepiej odejść niż udawać, że się coś robi, i czekać na jakieś korzyści. Taka czystka była potrzebna. Domagali się jej sami robotnicy. Partia zyskała, lecz jednocześnie straciła wielu wartościowych członków. Myślę, że załamali się psychicznie widząc bezcelowość swojej pracy. Znałam pewnego człowieka, który opowiadał mi o pierwszych latach istnienia PZPR, a był jej członkiem od 1948 r. Miał ogromny żal do przywódców, że pozwolili, aby partia tak zmieniła swój charakter,

tzn. politykę wobec całego narodu. Trudno dziwić się starym działaczom, ale przecież nie można w sytuacjach zagrożenia być szturem z tonącego okrętu. Członkowie partii i bezpartyjni powinni mieć świadomość, że PZPR jest dla nich oparciem, ale to zobowiązuje!

Właściwie cała posierpniowa dyskusja dotyczyła przeszłego i przyszłego kształtu partii. Te konfrontacje i przypomnienia były dla jednych przykre, że nie wróca „dobre” czasy, dla innych radosne, bo nadszedł czas odnowy. Nie sposób zapomnieć o tych willach, samochodach, popłatnych, ciepłych posadkach, na których ziewało się przez osiem godzin albo załatwiano przez telefon służbowe i prywatne sprawy. Czy dla takich wartości podziałów i ogromnych dysproporcji ginęli „proletariaciecy”, członkowie KPP i PPR-u? Jak partia mogła realizować jakiegokolwiek program, jeżeli jej członkami byli ludzie łamiący podstawowe normy partyjne, moralne a nawet prawne, i żyjący wygodnie z „czystym” sumieniem wśród niesprawiedliwości społecznej?

Dobrze pamiętam te nasze jałowe zebrania. Z góry było wiadomo, że cokolwiek powiemy, trafi tylko na papier, a i to nie wszystko. Ciągłe więc snuły się gdzieś kryteria partyjności. Nigdy nie wątpiłam w to, że jeżeli PZPR nadal będzie przyjmować do siebie „jak leci” albo obiecywać złote góry, to w końcu straci prawo nazywania się partią komunistyczną.

Ciągle się uczymy. Dlaczego tylko na błędach? Czyżby to było najłatwiejsze? Chyba też nie, bo przecież tych sygnałów ostrzegawczych przeżyliśmy sporo i... nic. Partia w latach osiemdziesiątych stała się przysłowiowym chłopcem do bicia: za niekonsekwencję w działaniu, za styl pracy, tolerowanie karierowiczostwa i nadmiernego bogacenia się, rozdawanie przywilejów.

Nigdy nie myślałam, żeby wystąpić z organizacji. Jeżeli jest źle i ci uczciwi są o tym przekonani, powinni zostać, aby sytuację naprawić, a nie — rzucić legitymację i odejść nagle z czystym sumieniem, że „ja tu nic nie jestem winien, nikt mnie nie pytał o zdanie”. Po co w takim razie siedział spokojnie tyle lat i może nawet nie starał się, by jego głos gdziekolwiek dotarł?

Patrząc na nas dzisiaj bezpartyjni, obserwując każdy nasz krok. Członek partii nie może pozwolić sobie na byle jak wykonaną pracę, brak odpowiedzialności, bezkarność. Przecież autorytet zdobywa się tylko w konkretnych zachowaniach. Przykładem pozytywnych zmian w partii są formy pracy. Zebrania w naszej OOP nie traktujemy jak czegoś, co zostało nam narzucone. Nareszcie

możemy decydować sami o tematach szkolenia ideologicznego, o własnych problemach zawodowych. Nasze zebrania przypominają raczej swobodne rozmowy, potrzebne, narzucone tylko przez życie.

Przestrzeganie kryteriów partyjności to również uświadomienie przyszłemu członkowi, że decyzja posiadania czerwonej legitymacji należy tylko do nich. Wraz z nią przyjmują organizacyjną etykę. Muszą wiedzieć, że także od ich postawy zależy autorytet PZPR. Zasady moralne członków partii stały się dzisiaj szczególnie ważne.

Alicja Karpińska jest społecznym sekretarzem OOP w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Łomży.



Marzenie siedemnastoletniej Ani, sanitariuszki PCK, by poświęcić swe życie niesieniu innym ulgi w cierpieniu, zaczęło się spełniać z chwilą, gdy została przyjęta do pracy w łomżyńskim szpitalu Sw. Ducha jako pomoc pielęgniarki. Dobrze pamięta ówczesnego dyrektora, dr. Wyszogrodzkiego, ordynatorów Rogowskiego i Domisłowskiego oraz siostry zakonne, dzięki którym szybko zrozumiała, że pielęgniarstwo to nie zawód, lecz sposób życia. Nie było tu dni wolnych od pracy, a pojęcie „nadgodziny” wydawało się zupełnie nieznane. Ona jednak była szczęśliwa, że ktoś ciągle potrzebuje jej pomocy. Była szczęśliwa wśród cierpienia, ale co naprawdę oznaczało to słowo, miała dopiero się przekonać we wrześniu 1939 r.

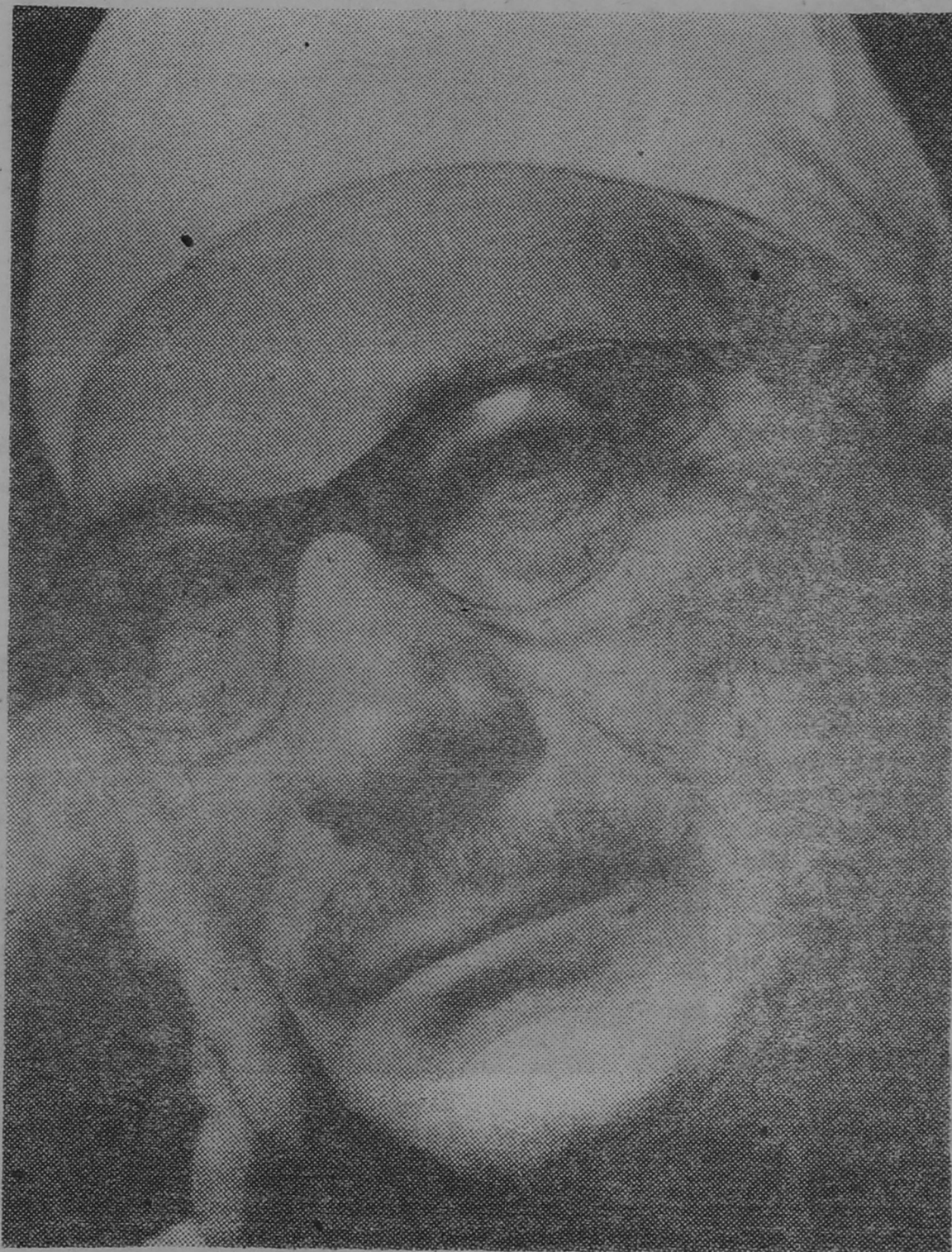
— Zmobilizowano niemal wszystkich mężczyzn — wspomina Anna Bazydło. — Również lekarzy. Dyrektor Wyszogrodzki telefonował gdzieś z frontu i przypominał nam o wywieszeniu białej flagi, by uchronić szpital przed bombardowaniem. Skutek był taki, że niebo nad nami pociemniało od samolotów; Niemcy nie respektowali Konwencji Genewskiej... Ordynator Rogowski, zanim zginął na piętnickim froncie, prosił, byśmy przyjęli i troskliwie zajęli się niemieckim czołgistą. Sądził, że obecność rannych Niemców może uchronić szpital przed atakami. Wprawdzie w oddziale było już czterech Niemców, ale wraz z siostrą zakonną, Julią Smolarek, postanowiliśmy skrupulatnie wykonać polecenie dr. Rogowskiego. Czołgista był w ciężkim stanie; ratowaliśmy go, jak umiałyśmy. Gdy trochę doszedł do siebie, wytłumaczył nam, żeby wynieść go na strych, a on spróbuje sygnałami wstrzymać bombardowanie. Niestety, uwierzyłyśmy mu. Nowy grad kul posypał się na budynek. Niemiec był widocznie przekonany, że nie wyliże się już z ran, a przed śmiercią może się jeszcze przysłużyć rodakom. Zapewne sądził, że w szpitalu leżą ranni żołnierze. Tymczasem znajdowali się w nim wyłącznie cywile, w większości mocno wystraszeni Żydzi. W czasie bombardowań chowali się nam pod spódnicę, wczolgiwali pod łóżka i umierali ze strachu. Dosłownie. Ich serca nie wytrzymały takiej dawki emocji.

Zapadła decyzja o ewakuacji szpitala do Boguszyca. Dwa razy obracaliśmy furmanką. Wśród ewakuowanych była m.in. młoda kobieta, której bomba urwała nogę, osieroczone dziecko i młody kominiarz; ten przy pracy stracił nogę. Czterech umierających musieliśmy zostawić. Kiedy zmarła młoda Żydówka, pomyślałam, że za jej złote kółeczki i guziczki przy bluzce byłoby sporo chleba, ale poczucie przyzwoitości zwyciężyło. Odnieśliśmy Żydówkę do kostnicy.

W Boguszycach również nie było spokoju. Przeżyliśmy tam kolejny nalot, po którym przybiegła do mnie jedna z koleżanek: „Aniu, ratujmy siostrę starszą, leży w kartoflisku!” Zofia Wawrowska nie była jednak ani sparaliżowana strachem, ani ranna; tak osłabła, że podmuchy rozrywających się bomb rzucały ją na ziemię. Ważyła zaledwie 38 kilo. Nikt nie widział, żeby coś jadła czy spała. Wciąż czuwała przy chorych lub modliła się w kaplicy.

Niemcy zaczęli od poszukiwania mężczyzn. Ustawili nas pod stodołą, która awansowała do rangi szpitala. „Nie ma żadnych mężczyzn — tłumaczyłyśmy — a nawet zamężnych kobiet; same panny i siostry zakonne.” Chodzili, szukali, bagnietami sprawdzali stogi, wreszcie dali nam spokój. Zresztą już wkrótce wycofali się z tych terenów ustępując przed Rosjanami. Mogłyśmy wracać do Łomży. Słyszy się z sercami ścisłymi ogromną obawą, gdyż opowiadano nam w Boguszycach, że miasto jest zrównane z ziemią. Szpital stał jednak na swoim miejscu, pozbawiony jedynie dachu. Znalazłyśmy w nim bomby, które jakimś cudem nie wybuchły, i 23 trupy. Wiodłynie chory i ranni przychodzili tu po pomoc i umierali nie mogąc się jej doczekać. Wynosiliśmy ich na plecach i grzebałyśmy w lejach po bombach, gdyż kostnica się spaliła. Z „mojej” Żydówki zostały tylko te złote guziczki.

SILNIEJSZY NIŻ DYNAMIT



Szpital był teraz radziecko-polski; na piętrze leżeli Rosjanie, na dole — Polacy. Dyrektorem naczelnym został Żyd, dr Knot, a administracyjnym — Rosjanka Włoczkowa, bardzo dobra kobieta. Dzięki niej nie brakowało jedzenia ani chorym, ani personelowi. Pracowało się dość spokojnie. Oczywiście, nie było spokoju w te noce, gdy padał deszcz, gdyż trzeba było zbierać wodę, żeby nie lała się chorem na głowy. Gdy wreszcie położono dach, któregoś dnia wybuchł pożar. Zrobiło się nieprzyjemnie, gdyż padło podejrzenie, że to sabotaż ze strony sióstr zakonnych, spowodowany ich rzekomą nienawiścią do komunistów. Aresztowano nawet starszą siostrę. Wkrótce jednak okazało się, że winien był jeden z Rosjan, który zaproszył ogień paląc papierosa podczas napychania sienników słomą. Siostrę natychmiast zwolniono.

Niestety, w czterdziestym pierwszym Niemcy wrócili do Łomży i dopiero wtedy pokazali łomżanom, czym może być okupacyjny terror: stworzenie żydowskiego getta i jego likwidacja, uliczne łapanki, rozstrzelania w okolicznych lasach, wywóz na przymusowe roboty, przepełnienie w słynnym łomżyńskim więzieniu...

Niemieckie rządy zapanowały też w szpitalach. Wspomnienie o profesorach medycyny, Bilensteinie i Meisterze, nie jest jednak przykre: Bilenstein był wprawdzie służbistą, lecz dobrym człowiekiem, Meister zaś polował, ale tylko na ptactwo; bardzo interesował się operacjami

chirurgicznymi, natomiast niezbyt uważnie studiował dokumenty pacjentów, choć nieraz domyślał się, że przypadek opisany przez polskiego lekarza to nie skręt jelit, lecz usunięcie kuli z jamy brzusznej. Niestety, szpitalem faktycznie zarządzali nie tyle lekarze, co jego dyrektorka administracyjna, Frau Tuschi. Biciem, krzykami i nadzwyczajną surowością w traktowaniu pacjentów i personelu jakby starała się utwierdzić przełożonych w słuszności awansowania jej, właścicielki sklepu z zabawkami w Szczecinie, na stanowisko wicedyrektora szpitala.

— Dopiero wtedy — wspomina Anna Bazydło — i do szpitala wkraść się głód. Zupa na trzech rozdanych kartoflach była najpopularniejszym daniem z głodowego menu Frau Tuschi. Tymczasem sklep pana Smużyńskiego był jeszcze wcale nieźle zaopatrzony. Czasem go odwiedzałyśmy. Wracałyśmy wtedy z połamami fartucha w rękach, gdyż było w nim parę kilo kaszy i maki. Niemcy nas kontrolowali, ale puszczali wolno, gdy słyszeli, że to dla chorych do szpitala.

razy. Nie wchodziła jednak na sale, nie zdjęła nawet rękawiczek; przez uchylone drzwi udało się jej smagnąć parę przechodzących osób. Szpitala zakaźnego bali się wszyscy Niemcy, dawali więc nam tu święty spokój, mieliśmy też niezłe zaopatrzenie w leki i mogliśmy zorganizować lepsze wyżywienie. Kto nie miał rodziny, mógł mieszkać w szpitalu, dzięki czemu nie narażał się tak często na łapanki. W separatkach „dla szczególnie ciężkich przypadków” chroniliśmy żołnierzy, partyzantów, osoby poszukiwane przez gestapo. Chyba nie było przypadku, by ktoś przywieziony z więzienia czy aresztu gestapo z podejrzeniem o tyfus nie „uciekł nam” ze szpitala. Oczywiście, personel najpierw organizował ucieczkę, a potem, gdy pacjent był już w bezpiecznym miejscu, podnosił alarm. Z reguły tłuło się jakąś szybą, bo przed bramą stał strażnik, a kominem nie dało się wyfrunąć.

Nie było chyba w Łomży polskiego lekarza, który nie leczyłby partyzanta, nie pomagał ukrywającym się.

W 1943 r. w Szpitalu Sw. Ducha zaczął pracować dr Witold Prusiński. Był rodowitym łomżyńszakiem, ale po ukończeniu studiów w 1940 r. pracował najpierw w Szczuczynie, gdzie szybko zyskał opinię bardzo dobrego chirurga. Zajął miejsce Sylwestra Jakubowskiego, który zrezygnował z pełnej upokorzeń pracy w szpitalu.

Niemcy ponosili na Białorusi coraz dotkliwsze porażki i coraz więcej rannych przewożono do szpitali cywilnych. Nad żołnierskim szwargotem wciąż dominował ostry głos Frau Tuschi.

— Któregoś dnia — przypomina sobie Anna Bazydło — chyba w końcu lipca, Niemcy przywieźli do naszej kuchni kilkanaście paczek i ułożyli je pod ścianą. „Przywieźliście nam kawy?” — zapytała siostra Julia Smolarek. Przytaknęli. Mnie jednak wydały się te paczki jakiegoś dziwne. Zająrzałam: w środku znajdowały się małe paczuszki, połączone kabelkami. Pobiegłam do Zofii Wawrowskiej: „Siostró starsza, Niemcy chyba będą minować szpital!” Rzeczywiście, przyznali, że mają taki zamiar. Dr Prusiński jednak ani myślał o ewakuacji: delegacja do szefa gestapo, von Grebera, poszła uzbrojona w koszyk słoniny i boczek oraz baniak spirytusu. Wtedy już i Niemcom doskwierał głód. Greber napisał na karteczce nowy rozkaz w sprawie szpitala. Spirytus okazał się silniejszy od dynamitu.

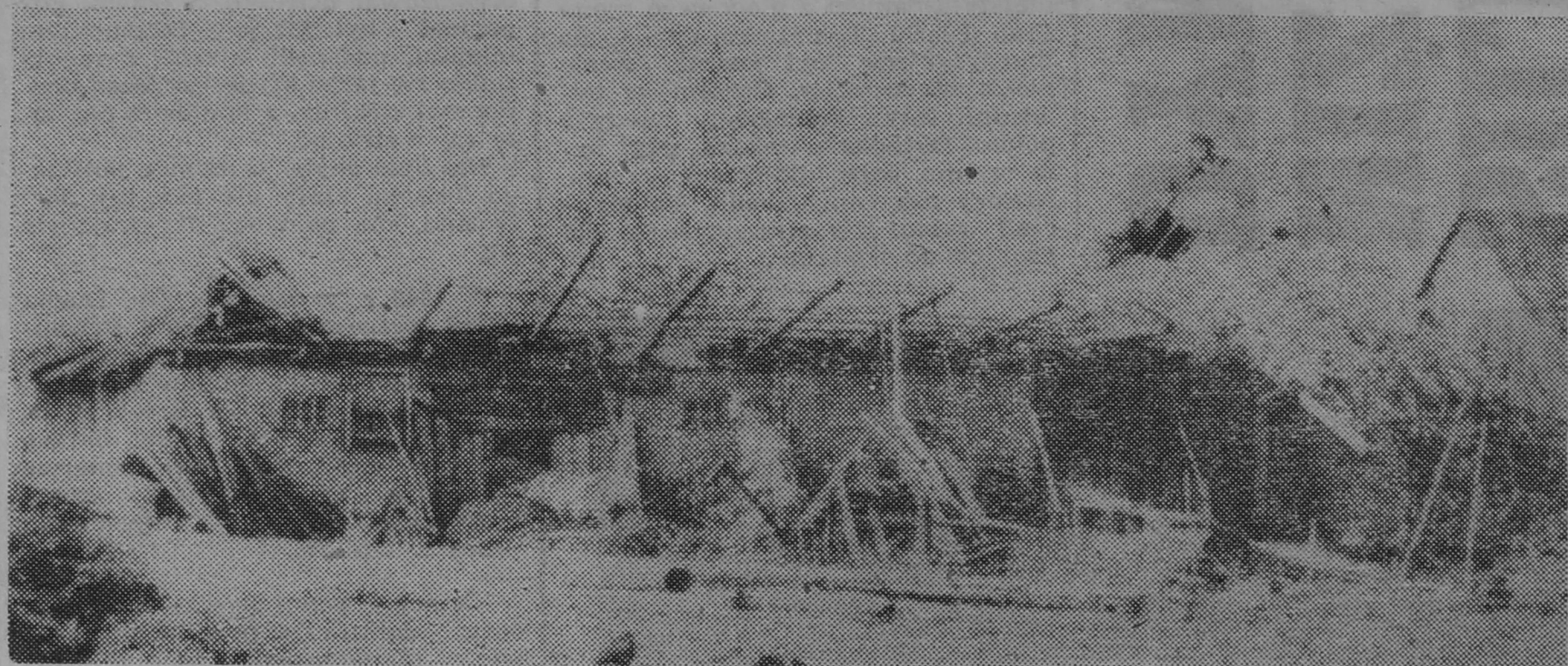
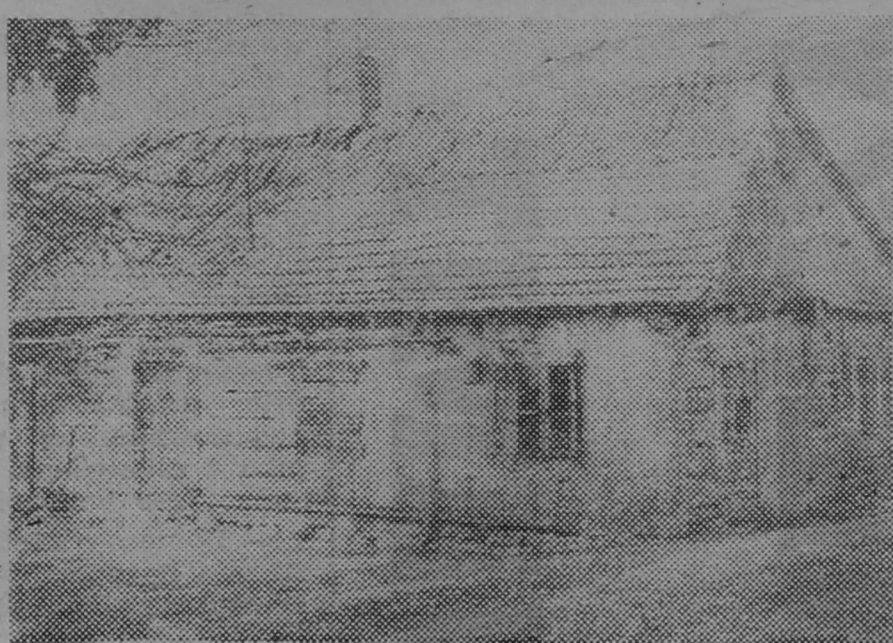
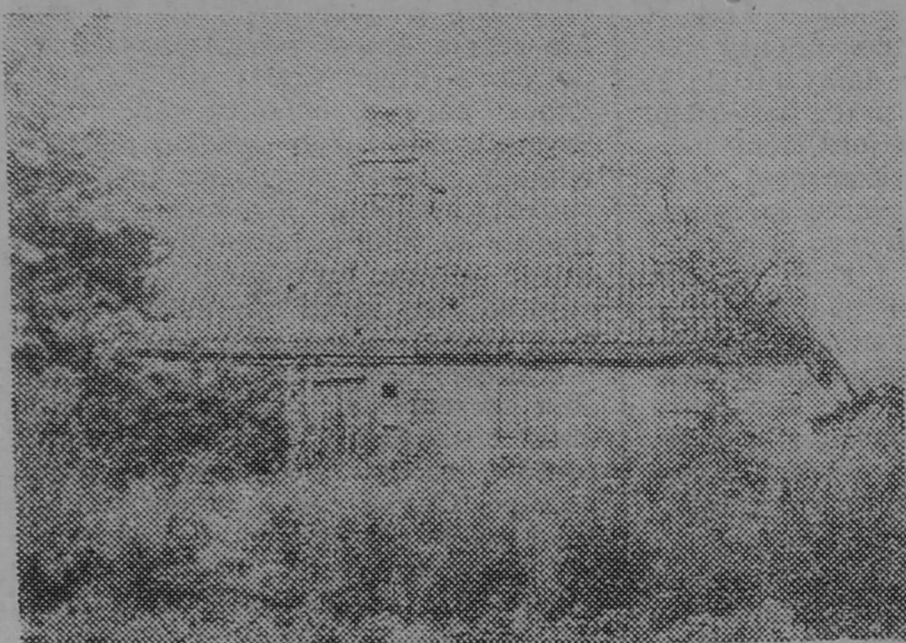
Wkrótce po ustąpieniu Niemców okazało się jednak, że szpital musi być ewakuowany; przez jego dziedziniec miały przebiegać frontowe okopy. Dr Prusiński uzyskał od dowództwa Frontu Białoruskiego nie tylko zezwolenie na przewiezienie około setki chorych (w Szpitalu Sw. Ducha schronili się również chorzy z zakaźnego na dzień przed jego zbombardowaniem), sprzętu i personelu do Jesienicy za Ostrowią Mazowiecką, lecz — co najważniejsze — także na wozy do transportu. Na miejscu, wspólnie z dr. Jurkiem i Tadeuszem Wejrochem, zorganizował szpital o 60 łóżkach: chirurgię, internę, położnictwo i poradnię. Operował codziennie w jakimś obskurnym baraku, nie dbając o własne zdrowie, co przypłacił zapaleniem płuc. Nie miał jednak czasu na dokładną kurację, gdyż w końcu stycznia ruszył front na Narwi i można było wracać do Łomży.

Anna Bazydło, która w czasie okupacji została mężatką i matką dwojga dzieci, też szykowała się do powrotu ze Sniadowa do Łomży. Ta zima była dla niej tragiczna: mąż zachorował na krwawą dezynię. Pracujący wówczas w Sniadowie Stanisław Wejroch wysłał go do Białegostoku, gdzie został wyleczony. Gdy, tknięty złym przeczuciem, wrócił do domu jeszcze przed zakończeniem kuracji, dowiedział się, że doktorowi nie udało się uratować ich dwuletniej córeczki.

Dr Józef Korta musiał dłużej pozostać ze swym personelem w Wysockim Mazowieckim. Nielatwo było w zrujnowanej Łomży znaleźć nowy lokal dla szpitala zakaźnego.

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSKY





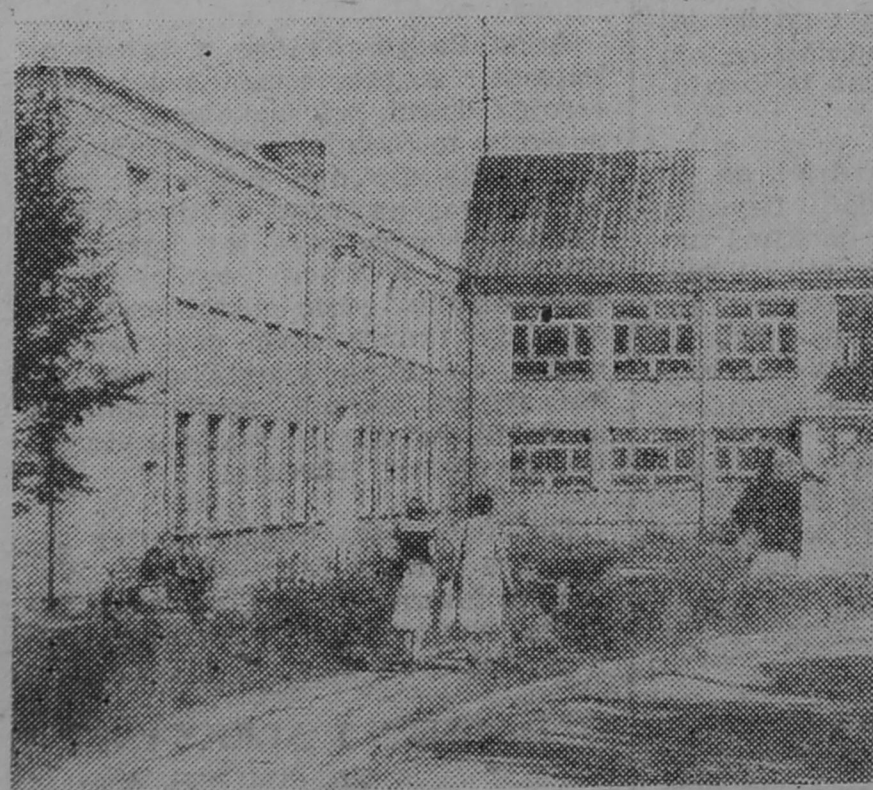
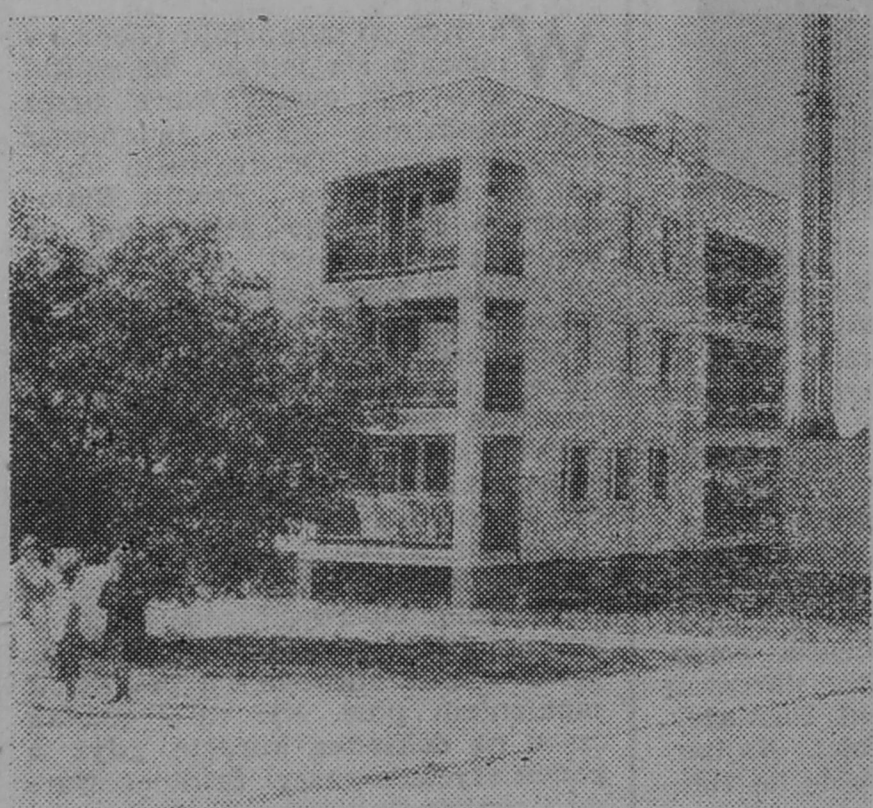
To stary gród podlaski, założony w miejscu jedynej przeprawy przez jaćwieskie bagna. Początki osady sięgają okresu panowania książąt mazowieckich. Prawa miejskie otrzymał w 1547 roku, ale nazywany był miasteczkiem już w roku 1493. Rozkwit Goniądza przypadł na XVI i XVII wiek. Był wówczas dużym ośrodkiem przemysłu młynarskiego i portem rzeczny, z którego spławiano do Gdańska produkty leśne i rolne.

W okresie „potopu” Goniądz przeżywał upadek gospodarczy, a po obu wojnach światowych w mieście zostały tylko zgliszcz.

Dziś pełni rolę ośrodka obsługi rolnictwa i zaopatrzenia ludności. Posiada Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury, Dom Wychowawczy, bibliotekę publiczną, kino, ośrodek zdrowia, Zbiorną Szkołę Gminną im. Zygmunta Berlinga, Liceum Ogólnokształcące oraz sieć placówek handlowo-usługowych. W budowie jest osiedle mieszkaniowe. Niedawno miasto otrzymało wodociąg.

W związku z położeniem przy ważnym szlaku turystyki wodnej, prowadzącym z jezior augustowskich Biebrzą do Narwi, planuje się budowę stacji; część robót wykonują społecznie mieszkańcy, których jest już około 2000.

Tekst i zdjęcia GABORA LORINCZEGO



spodynie z Białosukni. Konkurencja z Kramkówek Małej poprawia tymczasem makijaż, wygląda falbanki i zakładki. Rolnicy 40-lecia, zbici w ciasną gromadkę, pokazują sobie nawzajem otrzymane przed chwilą dyplomy. Czy trudno zostać najlepszym w swojej wsi?

— Nietrudno — mówi Mieczysław Skubich ze wsi Budne. — Trzeba tylko być dla innych uprzejmym, pomóc, jak komuś nie idzie. No, wie pani, to się nie da tak powiedzieć. Trzeba być człowiekiem, to inni też uszanują. Wieś jest jedną gromadą i nie może tak być, żeby jeden patrzył tylko na siebie i nie widział, że drugiemu dzieje się źle. A już podczas żniw szczególnie. Chleb jest najważniejszy.

— Kto pracuje, nie ma cudów: musi dopiąć swojego — dodaje inny laureat plebiscytu, Lucjan Wysocki ze wsi Wójtostwo. — Chłopu samo w polu nie wyrośnie. Potrzeba jeszcze dużo silnej woli i charakteru, żeby nie wlec się w ogonie, bo to wstyd przed całą wsią. Pani jest z gazety, prawda? To niech pani napisze, że do Białegostoku mamy o wiele lepszy dojazd niż do Łomży. Tyle człowiek traci czasu, zanim dotrze do województwa! A ziemia nie może czekać.

Konkurs piosenki zakończony. Komisja wyciera pot z czoła i w skupieniu liczy punkty. Na scenę wkraczają młodzi. Tradycja tradycją, ale nie może obyć się bez najnowszych przebojów. „Lecą” więc po kolei w wykonaniu zespołów z Zambrowa i Wysokiego Mazowieckiego, zarazem uczestników warsztatów muzycznych, zorganizowanych tutaj — nad Biebrzą. Swojskie zwrotki przerywa stylizowana angielszczyzna i niesprawy od czasu do czasu mikrofon. Na szczycie działa, gdy poszukiwany był lekarz.

— Wypadki chodzą po ludziach, a nie ludzie po wypadkach — zauważa filozoficznie młodzi z tłustymi włosami, obejmując dziewczynę z połyskującym w słońcu, odrapanym lakierem na paznokciach.

Oblepiony dziećmi i sympatykami straż pożarnej czerwony jelec oczekuje spokojnie na swoją kolej. Zawody „ochotników” przewidziane są na zakończenie imprezy. Remiza zamknięta, a tam właśnie czeka na zwiedzających wystawa z regionu Kramkówek Małej. Dopiero gdy jury przekracza jej próg, można obejrzeć zbiory. Jest nawet stary młyn do kawy, o który drżą organizatorzy, bo „chyba długo nie wytrzyma”; jest pięknie haftowana bielizna pościelowa, obrusy, kołyska (zawieszona u sufitu), foremki do ciastka, kijanki, wstęgi. Wzbudzą „achy” i „ochy”. Plony też nie gorsze niż w Białosukni.

— Widziała pani kiedy taką cebulę? — podsuwa mi pod oczy wspaniały okaz gospodyni z Kramkówek. — Albo takie buraki? Ich są mniejsze.

— Ano, jasne — potwierdza inna, poklepując ułożone ziemniaki. A za oknem śpiewają młode talenty, dopingując zawodniczek machające drutami. Za chwilę konkurs tańca: wiązanie krawatów, sztafeta pączkowa i zawody piwoszów.

Tymczasem za komisyjnym stołem degustacja regionalnych dań i staropolskich napojów. Zapach kapusty z mięsem i nadziewanej kaczki zmusza do przełknięcia ślinki.

— Chyba dobre, bo tak się obli-

zuja — mówi jakiś chłopak trąca-
jąc łokciem koleżę.

— Iiii... — wąpi tamten, patrząc
zupełnie w innym kierunku, bo oto
pod stołem komisji rozłożył się ru-
dy pies. — Misiek, Misiek — szep-
ce nagle chłopak, przedzierając się
przez publiczność. — Chodź tu, do
nogi — prosi. Zwierzę, głuche na
głos pana, zaczyna rozprawiać się
z własnymi pchłami. Chłopak ma-
cha ręką i ginie w tłumie.

Oklaski. Nie dla małałatów ani
wiejskich malw. Na scenie pojawia
się starszy pan. Nabiera tchu i
już leci w niebo swoje nuty.
Władysław Markiewicz reprezentuje
barwy Kramkówki.

— Na pewno wygramy, zobaczy
pani. Kiedy u nas ludzie do czegoś
się biorą, to musi być, jak trzeba.
Szkoda, że nie była pani w naszej
wsi: tylko jeden drewniany dom,
prawie wszyscy mają łańniki, a
zaczynaliśmy od gruzów. Goniądz to
szkoda mówić. Przykro było
patrzeć: kamień na kamieniu,
a front stał tutaj pół roku.
Potem szalały bandy, a jak
przyszło dzielić ziemię z majątku,
to wiem, jak ludzie reagowali: je-
den płakał z radości, a drugi ze
strachu, i nie chciał ani kawałka.
To, proszę pani, było takie nowe,
sprawiedliwe, a jednocześnie napa-
wające obawą, jak sobie damy ra-
dę, bo tutaj ludzie są bardzo am-
bitni. I proszę: u nas pojawił się
pierwszy w województwie traktor,
pierwsze kółka rolnicze. A zanim
naród przekonał się do nowych ma-
szyn, ile to trzeba było zachodu.

Ale dzisiaj nikt nam nie powie, że
odstajemy od innych. Raczej do nas
się przyrównują.

Do konkursu przystąpili przedsta-
wicieli Banku Spółdzielczego, GS-u,
SKR-u, Zakładu Produkcji Lalek.
„Rycz, mała, rycz. Płacz, mała, płacz”
— naśladują „Vox” małałaty,
podrygując w modnym rytmie.

— Nie wierzę w to, że Goniądz się
zmieni. Może za sto lat — ubiegło-
roczny maturzysta pociera w za-
kłopotaniu czoło. — To miejsce jest
dobre na wakacje, ale nie na cały
rok. Dla młodych ludzi nie ma tu
nic: ani klubu, ani kawiarni. Gdy-
by pani przyjechała w zimę, widok
byłby jeszcze gorszy. Tylko poło-
żyć się i spać do wiosny.

— U nas jest fajnie. Nigdzie nie
chciałbym wyjechać z Goniądza —
czwartoklasistka Małgosia okręca
na palcu koniec warkocza. — Tyl-
ko żeby przyjeżdżało do nas weso-
łe miasteczko i żeby był porządny
sklep 1001 drobiazgów, bo po byle
co trzeba jechać do Łomży i cały
dzień tracić.

— I żeby jeszcze była strzelnica
— odpowiada jej koleżanka. — To
już całkiem byłoby dobrze.

Jury liczy i liczy, a ze sceny na-
głe wybucha wspaniały jazz: bia-
łostoczanka Helena Mieszkuniec da-
je popis przebojów Billy Holliday.

— Gdyby tak jeszcze „Summer
Time” — wzdycha ktoś kołysząc się
w takt muzyki.

Sygnie staropolska kapusta,
strzelają butelki z regional-
nym napojem, strażacy nie-
cierpliwie zerkają na zegarki. Go-

spodynie z Białosukni okupują okna
sali wystawowej. — A gdzie podzia-
łaś łyżki? — pyta jedna drugą sfru-
wając na dół.

— Już zaniósł, ale tamtych
szklanek nijak nie mogę znaleźć —
odpowiada w biegu zagadnięta.

Największy ruch panuje chyba
wokół lodziarza. Lody kapia na od-
świętne garnitury i krawaty, bluzki
ze złotą nitką, mini-spódniczki. Wła-
ściwie tylko jedna trasa skupia lu-
dzi: między MGOK-iem i tą ma-
łą budką. Ze sceny płyną szalone
dźwięki i zapowiedź przeciągania li-
ny „na tyłach” MGOK-u. Część wi-
dzących zrywa się z miejsc, aby kibi-
cować swoim. Umęczeni długim sta-
niem — korzystają z okazji i sado-
wią się wygodnie na krzesłach. Na
stoły, przy którym zasiada komisja,
zostają puste szklanki i butelki.
Nikt nie ma głowy do raczenia się
cierpkim napojem, gdy „tam” tyle
się dzieje. Przez tłum trudno się
przecisnąć. Doping zagrzewa do wal-
ki.

Okrzyki zagłuszają ogłaszany wy-
nik. Wszystko przenosi się szybko
na stare miejsca. Jeszcze jedna pio-
senka małałatów i w końcu prze-
wodniczący jury podaje ostateczny
werdykt. Szał entuzjazmu ogarnia
mieszkańców i kibiców drużyny
Kramkówki Małej. Zwycięstwo po-
raz drugi! Nagroda: 55 tysięcy zło-
tych na zakup sprzętu gospodarstwa
domowego dla Kola Gospodyń Wiej-
skich. Białosuknia musi zadowolili
się sumą o 30 tysięcy niższą. Wyją-
strzałskie syreny i widowsko prze-
nosi się na główną ulicę. Z węzów
strzelają strumienie wody, a przy
okazji zmywa się brud i kurz z
jezdni. Samochody robią honorową
rundę i wreszcie mogą spokojnie
wrócić do remizy.

Tymczasem widzowie rozprawiają
o wynikach rywalizacji swoich fa-
worytów. Gospodyni z Białosukni
mówi wzburzona: — No, i niech
pani sama powie, jaka to sprawied-
liwość! W tamtym roku też wygra-
li! A idźcie! Po co tyle roboty i te-
go całego zachodu! — macha ręką.

— Jak się ma w komisji żonę i
szwagra, to wiadomo! — dodaje in-
na, nie mniej zdenerwowana.

— Komu pan kibicował? — py-
tam jakiegoś widza.

— Oczywiście, Kramkówce! —
odpowiada bez zastanowienia. —
Oni, poszę pani, potrafią zrobić coś
z niczego. W tej wsi jest tylko 30
gospodarstw, a pod wieloma wzglę-
dami przewyższają niejedną w o-
kolicy.

— W czym są tacy najlepsi? —
chcę wiedzieć.

— W gospodarności, a z tego ble-
rze się wszystko inne.

— Dlaczego tak trudno wygrać z
Kramkówką? — zwracam się do za-
smuconych mieszanek Białosukni.

— Trudno?! Nietrudno, tylko trze-
ba sprawiedliwie!

— Przecież myśmy też się stara-
ly!

Komentarzem nie ma końca. Mo-
że złagodzi je, zapowiedziana na
wieczór, zabawa ludowa?

Milkną gitary, nie trzeba już
sprawdzać mikrofonów. Odjeżdżają
samochody. W szklankach na stole
komisji osy pławia się w staropol-
skim napoju. Na schodach wyciąg-
nął się pies. Nagła cisza kluje w
uszy, natomiast w oczy — połama-
ne krzewy wygnieciona trawa, roz-
rzucone gałęzie.

spiećcia



9

KONTAKTY
16 IX 1984

Zgodnie z oficjalnym cennikiem —
tona węgla kosztuje dwa tysiące
złotych. Podurząd do spraw cen w
GS „Samopomoc Chłopska” w Kol-
nie podniósł cenę tego opatu do
2570 złotych. Czynnikiem społecz-
nym nie udało się ustalić, czy cho-
dzi o pozabawienie stanowiska mi-
nistra od cen, czy prezesa od lokal-
nych podwyżek.

Niedawno „Kontakty” doniosły, że
także w łomżyńskich miasteczkach
rośnie produkcja trzody chlewnej.
Tylko w Stawiskach i Ciechanowcu
jest, niestety, odwrotnie. Zirykowa-
ło to czytelnika z ambitnej miejsco-
wości znad Nurca, który zadzwonił
z pytaniem: czy świnia jest czyn-
nikiem miastotwórczym? Po dłuż-
szej dyskusji w łonie „Spiećcia” do-
szły do wniosku, że tak, ale zależy
to od anatomicznej budowy świni.

Guma wśród owoców, pieczywo z
butami, halki i majtki obok gwoź-
dzi, szklanki między (sprzedawany-
mi bez żarówek) nocnymi lampka-
mi. Niezadowolonych z oddziaływa-
nia reformy i trzech „S” zapewnia-
my: dzięki przemysłowi handel nam
nerwów do końca nie zszarpie. Do
2000 roku nie będziemy kupować
gazet w kiosku „Ruchu” oferują-
cym Fergussony.

Jedna z łomżyńskich matek kupi-
ła 24 sierpnia w sklepie PSS przy
ul. Wojska Polskiego kaszę mannę
w kartkowej ilości. W środku to-
rebki znalazła dodatek w postaci
popularnych robaczek typu „świ-
der”. Przyznajemy — trzymiesięcz-
ne dziecko takiej strawy raczej nie
przyjmie. „Świdry” przeznaczone
były na uzupełnienie niedoborów
rynkowych mięsa w menu doro-
słych.

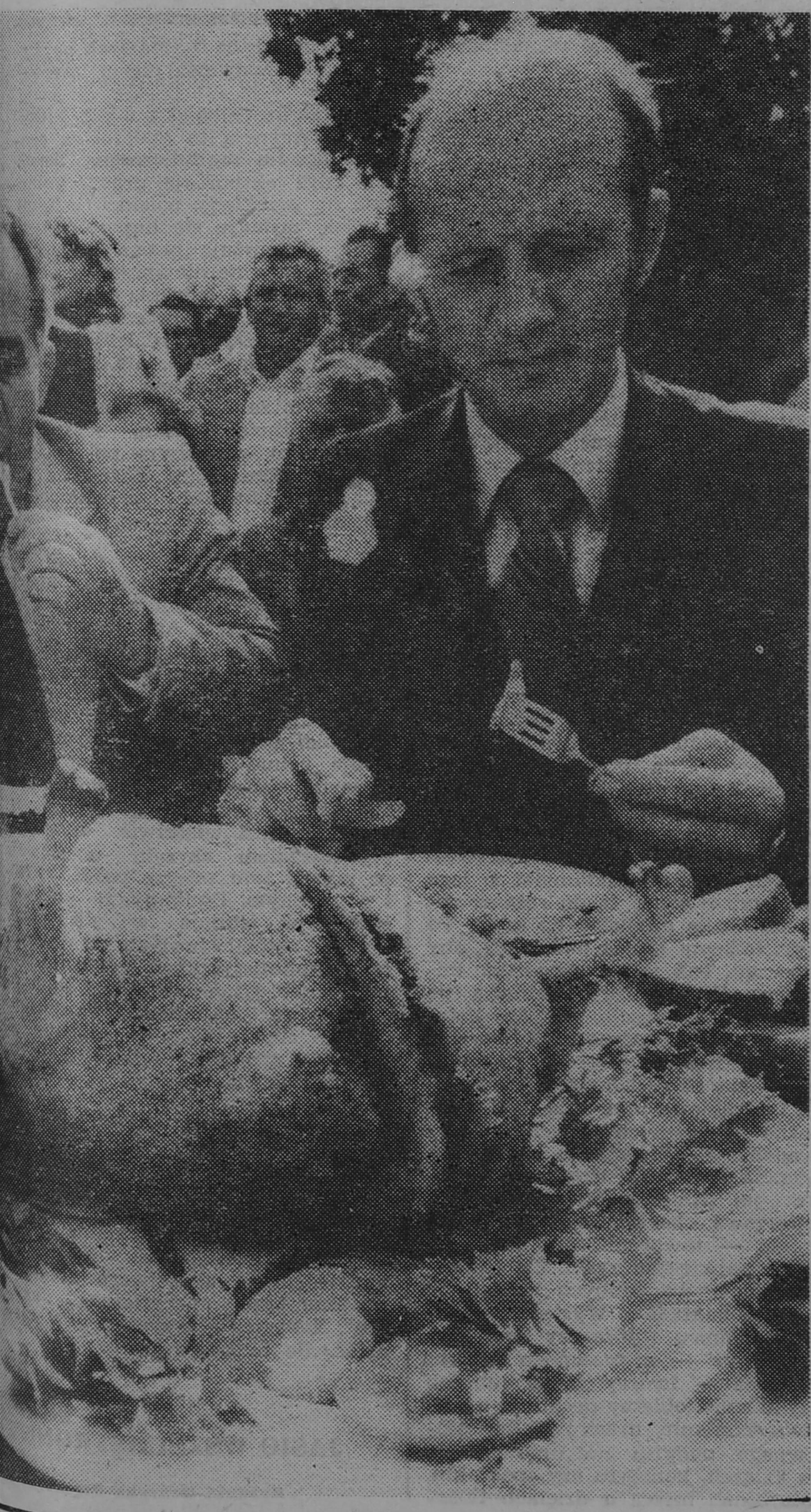
Za jedną butelkę po wodę „Pol-
mos” płaci dostawcom 2 złote 50
groszy. Dostawca — Przedsiębior-
stwo Hurtu Spożywczego — zatrzy-
muje z tej kwoty złoty siedem-
dziesiąt. Osiemdziesiąt groszy otrzy-
muje poddostawca, czyli organizator
i właściwy wykonawca skupu —
PSS „Społem”. Podział kosztu sku-
pu jest akurat odwrotny. Dokumen-
tuje to wyższość jednostki państwo-
wej nad spółdzielczą i pasażerem u-
społecznionego nad prywatnym.

25 sierpnia, o godzinie 12.56 kolo
śmietnika przy ul. Słowackiego 11
kierowca ciągnika z nr rej. LOT-
-020A zabetonował uratowane przez
dzieci drzewko posługując się przy-
czepą z nr rej. LOP-365B. I tak
nasz koniec w betonie.

Rolnicy z gminy Szumowo otrzy-
mali ostatnio z Gminnego Związku
Spółek Wodnych ostateczne wezwa-
nie do uregulowania zaległych skła-
dek, które w tym roku wzrosły —
bez żadnych konsultacji — o 100
procent. Składki przeznaczone są na
opłacenie konserwacji urządzeń me-
lioracyjnych, prac wykonywanych
od dwóch lat przez samych rolni-
ków. Propozycja, by gaże pracowni-
ków wypisujących wezwania wypła-
cano producentom żywności, jeszcze
nie padła.

W Szkole Podstawowej nr 1 w
Łomży, przeznaczonej do kształcenia
tysiąca pociech, uczy się ich dwa
i pół tysiąca. Za rok przybędzie ko-
leńnych pięćset. Dzięki decyzjom
wojewódzkich adiutantów — konty-
nuowana jest tradycja pierwszych
powojennych lat w nowoczesnym
wydaniu betonu i szkła. To wskaz-
że już gwarantuje, że zmieni się
jedenak rodzaj garbów i wypaść.

GABRIELA SZCZESNA



SŁOWO O KULTURZE

Słowa „cepelia”, „cepeliowski”. chociaż nie figurują jeszcze w „Słowniku języka polskiego”, na stałe już weszły do naszej mowy. Niemal w każdym polskim domu znajdziemy przynajmniej jeden przedmiot „cepeliowski”; właśnie „cepeliowski” a nie „ludowy” — przeciętny obywatel inaczej tego nie określi.

W czterdziestolecie Polski Ludowej podejmowano wiele różnych inicjatyw kulturalnych. Z perspektywy minionych lat możemy dziś ustalić, co się udało, a co nie, odróżnić błędy od prawdziwej wartości, wyjaśnić przyczyny, dlaczego pewne cenne pomysły pozostały jedynie w fazie projektów lub zgola w praktyce okazały się karykaturą początkowej idei.

Kiedy 21 kwietnia 1949 r. powołano Centralę Spółdzielczo-Państwową Przemysłu Ludowego i Artystycznego — nikt chyba, łącznie z projektodawcami, nie zdawał sobie sprawy z tego, że w historii polskiej kultury narodowej zaistniał fakt szczególnie doniosły, utrwalający dorobek rodzimej, ludowej kultury, zapewniający jej dalszy rozwój i przenikanie wartości folklorystycznych w cały obszar kulturowy.

Pragnę jednak przypomnieć, że nie była to nowa inicjatywa. Już u schyłku XIX wieku grupy społeczników popierały twórczość ludową i propagowały jej piękno. Dopiero jednak w ludowym państwie nadano należne jej miejsce, przyznano odpowiednią rangę. Należy to zaliczyć do największych osiągnięć socjalistycznej Polski.

Oczywiście, „Cepelia” od samego początku towarzyszyły dąsy „lepiej-wiedzących”. Utyskiwano, że handlowy charakter powstałej instytucji niszczy samorządność i unikalność twórczości ludowej. Nawet ludzie uważający się za znawców kultury zapominali, że ludowa twórczość artystyczna od wieków miała zdecydowanie komercyjny charak-

ter. Wyroby garncarskie o niepowtarzalnych kształtach, oryginalnie dekorowane i barwione, przez stulecia wozono na targi i z myślą o sprzedaży wytwarzano; podobnie — tkaniny, hafty, koronki, wyroby ze skóry, drewna, metalu, zabawkar-skie czy nawet rzeźby. Chaty wie-

skie upiększano z reguły tym, czego się nie sprzedawało lub co nie stanowiło towaru, jak np. wycinanki czy ozdoby choinkowe, których tradycja jest zresztą bardzo świeżej daty, jako że choinka zjawiała się na polskiej wsi dopiero na początku XX wieku. Góralskie malowidła

na szkiele czy dekoracje wnętrza chaty w Zaliptu były wyjątkami. Ko-go tylko było na wsi stać — wolał oleodruk czy gipsowe lub ceramiczne bibeloty od rodzimej ludowej sztuki.

Z punktu widzenia socjologii — prądy te bardzo — łatwo wyjaśnić. Przystawianie sztuki „miejskiej” stanowiło — w potocznym pojęciu — ludności wiejskiej — wyraz awansu kulturalnego. Jest to zresztą zjawisko bynajmniej nie polskie. W znacznie większym stopniu dotknęło inne kraje, szczególnie te najwyżej cywilizacyjnie rozwinięte, i spowodowało, że sztukę ludową można tam dziś oglądać tylko w muzeach czy skansenach — wytwornych cmentarzach utraconej kultury.

Twierdząc, że „Cepelia” nie tylko uratowała dla Polski sztukę ludową, lecz przyczyniła się do dalszego jej rozwoju, chyba najwspanialszego w historii, a co jeszcze ważniejsze — odkryła jej piękno i wartość najszerzszym masom obywateli, którzy tę sztukę uznali za własną, bliską, pożądaną.

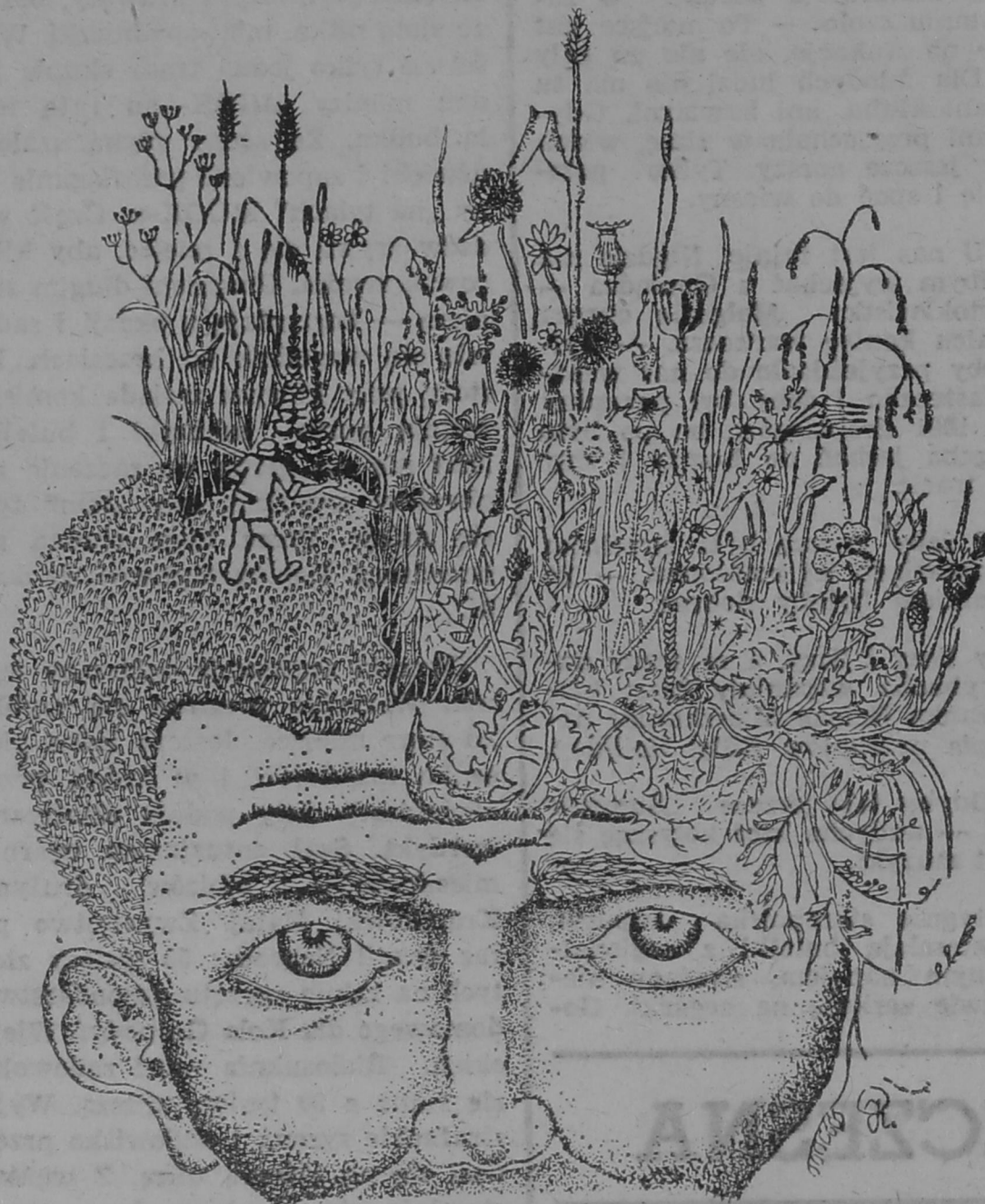
Dlaczego „Cepelia” nie podołała nawet okrutnym biurokratycznym praktykom, którym tyle innych cennych pomysłów udało się utopić?

Ostała się. Dotowała ludowych twórców specjalnymi funduszami, otwierała na odległych wsiach ogniska plastyczne, utrzymywała własne zespoły artystyczne.

W nowym „Programie rozwoju spółdzielczości cepeliowskiej” napisano: „nadzręczność celów kulturalnych nad celami gospodarczymi”. Tak już przywykliśmy do rozmyśniania się szarej praktyki z kolorowymi hasłami propagandowymi, że owym tęczowym barwom zyczajnie nie wierzymy. „Cepelia” trzeba jednak uwierzyć, bo ów pierwszy punkt swego programu realizuje nieprzerwanie od 35 lat. Wierzę więc, że nie ugnie się i w dzisiejszych trudnych czasach.

STEFAN ATLAS

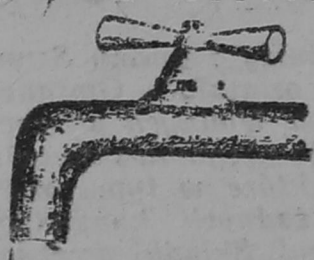
Pochwała „Cepelii”



SWIAT SUPRAPARCJALNY

PRZEDZIWIWY
EKSPORT

refleksja



lekroć wchodzę do warszawskiej siedziby ZAIKS-u, wita mnie oszklona gablotka z przekładami polskich książek na języki obce. To Agencja Autorska (spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, przedsiębiorstwo, w którym ponad 80 proc. akcji ma ZAIKS, a pozostały pakiet — inne związki twórcze) prezentuje „swój” dorobek handlowo-reklamowy. Naturalnie, zawartość gabloty się zmienia; rozmaicie, według różnych reguł: książki naukowe, dziecięce, poezja, klasyka, polska książka w określonych wydawnictwach czy krajach. Krótko mówiąc, niektóre nowości naszego eksportu w dziedzinie książki. Dlaczego tylko „niektóre”? Bo wszystkich edycji nikt nie zgromadzi, nawet gdyby dysponował odpowiednią powierzchnią magazynową. Nie istnieje nawet pełna informacja o wszystkich polonikach wydanych na świecie od 1945 r. Dwóm pełnym bibliografiom literatury przekładowej wydanej w Polsce nie odpowiada żaden wykaz przekładów książek polskich, które wyszły poza granicami naszego kraju.

Pewien mój znajomy określił tę sytuację lapidarnie: „Po co wiedzieć? I tak o wszystkim wie Pan Bóg”. — „Dobrze, ale co mają robić ateści?” — odpowiadałem żartobliwie. Niestety, sprawa jest ogromnie poważna. I trudna. System „eksportu-importu” dóbr kultury nie był nigdy wymodelowany należycie. Ukształtował się w sposób naturalny w latach sześćdziesiątych, trochę zmodyfikował w latach siedemdziesiątych. Podział pracy i kompetencji między poszczególne organizacje czy instytucje jest wyjątkowo niejasny. Często sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem i specyficznymi wymogami działalności. Dla przykładu: gablotce z przekładami polskich książek nie odpowiada żadna gablotka z przekładami obcych książek opublikowanych w Polsce. Agencja Autorska zajmuje się jedynie „eksportem” praw autorskich i — zgodnie z zagranicznymi umowami — dostaje egzemplarze przeznaczone dla siebie i autorów. „Import” praw autorskich oraz pozyskiwanie egzemplarzy książek przeznaczonych do tłumaczenia załatwiają poszczególne wydawnictwa we „własnym” zakresie. Odpowiednikami gablotki z Agencji Autorskiej byłoby więc stosowne

ekspozycje przekładów w „salonach” wielu wydawnictw.

Jednak bardziej pogładowe byłyby dwie wystawy umiejscowione na przeciw siebie; może niekoniecznie w ZAIKS-ie czy Agencji Autorskiej. Taka konfrontacja to wspaniała odtrutka na różnego rodzaju kompleksy, uproszczone mniemania itd. Wówczas okazałoby się, że jednej książce polskiej wydanej w USA „odpowiada” siedemdziesiąt amerykańskich opublikowanych w Polsce. A podobna proporcja w przypadku Węgier wynosi już nie 1:70, ale 12:8. Naturalnie, nie jestem takim głupcem, żeby nawoływać do jakiejś „urawniłowki”, ustalania proporcji, wyrównywania rachunków. Wszelkie argumenty są tu połowiczne i łatwo z nimi polemizować. Ostatecznie można nie kupować filmów, nie sprowadzać zespołów, nie tłumaczyć książek. Nasza strata, nasze zmarnowanie.

Problem polega nie na ograniczaniu importu czy zmniejszaniu potrzeb, ale na zarabianiu. Dokładniej: na rozeznaniu w możliwościach zarobkowych i na sprawniejszej organizacji. Z tym jest, jak zawsze, najgorzej. Ktoś kiedyś mądrze powiedział, że nie umiemy nawet w 70 proc. wykorzystać zalet scentralizowanego systemu, natomiast z jego niedogodności bez trudu robimy sobie kamienie młyńskie na szyję. Po czym idziemy gdzieś nad wodę, aby odpocząć. Tak jest z eksportem-importem dóbr kultury. Zajmują się nim różne instytucje: od „Ars Polony”, „Desy” czy „Cepelii” po wyższe uczelnie, Radiokomitet i wydawnictwa. Niektóre z nich mają już wprawę i zarabiają; inne uczą się, prze-ważnie na własnych błędach, co — jak wiadomo — kosztuje sporo. Np. Agencja Autorska, licząc od początku jej istnienia, jest instytucją deficytową, chociaż handluje zezwoleniem — towarem przynoszącym ponoć największe zyski. Tu (pozwólcie) nie trzeba żadnych inwestycji, żadnych nakładów. Wystarczy uzyskanie podpisu autora czy kompozytora, gdyż — z prawnego punktu widzenia — twórcy dzieła lub ich legalni spadkobiercy decydują o rozpowszechnianiu utworów. Bez stosownego podpisu na umowie nie ma książki, koncertu czy spektaklu. Naturalnie, mowa o dziełach twór-

ców żyjących bądź zmarłych najwyżej przed dwudziestu pięciu laty.

Z organizacyjnego punktu widzenia — Agencja to kadłubowa centrala handlu zagranicznego. Niepełna, gdyż eksportuje prawa autorskie na przekłady polskich książek, ale nie zajmuje się importem tych praw. Eksportuje prawa muzyczne i plastyczne, ale nie sprzedaje obrazów. Gromadzi książki, chociaż nie ma warunków ich przechowywania, a same książki przydałyby się nie szefom czy myszom, ale krytykom literackim, studentom neofilologii czy innym zainteresowanym. Propaguje kulturę polską, wysyłając (bezpłatnie) rozsyłaniem po całym świecie, tłumaczom potrzebne im książki, słowniki, encyklopedie, pisma.

Centrala dziwna, gdyż działa bez marketingu, bez wystarczającego rozeznania w aktualnie „obowiązujących” stawkach. Aprobuje właściwie propozycje kontrahentów. Rzadko kiedy negocjuje. Wysyła umowy autorom, aby z ich podpisem przesłać je kontrahentowi, który sam co najmniej zwrócił się do Agencji. Za swoje usługi pobiera 10 proc. od zawartej transakcji. W środowiskach twórczych przyjął się pogląd, że Agencja jest właściwie droższym przedłużeniem skrzynki pocztowej, w jakiejś tam mierze pożytecznym i potrzebnym. Dodajmy, że podobne instytucje istnieją w większości krajów socjalistycznych, a w krajach kapitalistycznych jest ich ogromnie dużo. Utrzymują się z procentu od zawartych umów. Jeśli dochody są zbyt niskie — plałtują, a twórcy szukają sobie nowych przedstawicieli.

Jak już pisałem, Agencja Autorska stanowi tylko część systemu materialnej wymiany dóbr kultury. Sprowadzamy i sprzedajemy książki, płyty, prawa autorskie, zespoły, wirtuozów. Trwa wymiana ludzi, „myśli”, przedmiotów. Sądzę, że nadszedł czas właściwego zorganizowania tego specyficznego „handlu”, żebyśmy przynajmniej wiedzieli, ile to kosztuje.

PROF.
JASIO WSZECHSTRONNY

Rysunki Henryka Pszkeznego

Kilkadziesiąt olejnych obrazów pokrywa ściany obszernego pomieszczenia. Na podłodze wystawa akwarel. Pejzaże, kwiaty i powtarzająca się postać kobieca na portretach. Kilka autoportretów, zawsze w tej samej pozycji — *en face* z rękami założonymi przed sobą. Pod filarem, który pośrodku podtrzymuje strop, kilkanaście ustawionych płócien.

— Część budynku gospodarczego zamieniłem na galerię. Czasem zmieniam ekspozycję, ale kilkanaście obrazów wisi tu zawsze — mówi gospodarz. — Te akwarele pochodzą z mojej wystawy, przygotowanej przed czterema laty przez Wojewódzki Dom Kultury. Pracownię mam obok. Kiedyś był tam garaż. Jest nawet kanał przykryty deskami, dzięki którym nie marzną w stopy, kiedy maluję w chłodne dni.

W pracowni tłok jeszcze większy. Na jednej ze ścian mokre jeszcze płótna. Są tu wyłącznie prawie pejzaże i kwiaty, kilka widoków Łomży i „kawalek” gór, malowane najczęściej gładko, w rozbielonych, bogatych tonacjach, gdzieś tam wzmocnione linearnym rysunkiem, najczęściej jednak modelowane kolorem. Niektóre portrety zdradzają nieprofesjonalność autora sztywnością i „nieanatomicznością” rysunku, ale nie wszystkie, jak choćby ten, który zobaczę później w mieszkaniu (kiedy też zorientuję się, że powtarzającą się ich modelką jest żona autora, pani Krystyna).

— To ogromny dorobek — mówię. Przez wiele lat był pan prawnikiem; czy wówczas pan także malował?

— Zawsze malowałem. Gdziekolwiek byłem, ciągnąłem z sobą choćby akwarele — wyjaśnia Czesław Dziewieczynski. — Nawet będąc prokuratorem w Ustrzykach Dolnych, Jasle czy Gorlicach, dokąd trafilem na początku pracy zawodowej przed trzydziestu kilku laty. Malowałem też w czasach gimnazjalnych, przed wojną. Pamiętam, że mojej nauczycielce w Nakle tak spodobał się tańczący Krakowiak, że mimo moich kilkakrotnych upomnień nie zwróciła mi tego obrazka. Po wojnie dokończyłem szkołę średnią i w

1949 roku zostałem przyjęty do Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Wybrałem się na studia, ale po przyjeździe okazało się, że spóźniłem się o cały miesiąc i moje miejsce na uczelni (a także w domu studenckim) jest zajęte. Rektor obiecał przyjąć mnie bez powtarzania egzaminu w roku następnym, ale znajoma protektorka uznała, że szkoda mojego czasu, i umożliwiła mi studia w Wyższej Szkole Prawniczej im. Teodora Duracza. A po

Po kursie specjalistycznym w Gliwicach otrzymał Czesław Dziewieczynski skierowanie do pracy w łomżyńskiej Prokuraturze. Tu zapuścił korzenie, choć sprawy służbowe kazały mu działać w Elku, Sokółce, Goidapi, a potem, kiedy na własną prośbę odszedł z Prokuratury, także w Kolnie, gdzie był adwokatem i radcą prawnym.

— Z Łomżą związałem się na dobre. Uczestniczyłem w zajęciach Koła Plastycznego przy Powiato-

ŻYCIE PODWOJONE



roku nie pozwolono mi przenieść się na ASP. I tak zostałem prawnikiem, choć z malowaniem nie zerwałem. Ta umiejętność przydawała się w działalności studenckiej i partyjnej (do PPR wstąpiłem w 1947 r.), a także pozwalała czasem zarobić przy malowaniu, tak modnych wtedy, wielkich dekoracji na różne święta i manifestacje polityczne.

wym Domu Kultury, kiedy prowadził je pan Lőrinczy, i potem pod kierunkiem Henryka Osieckiego. Byłem też wśród pierwszych członków Łomżyńskiego Towarzystwa Fotograficznego i zawsze brałem udział w przeglądach amatorskiej twórczości plastycznej, najpierw w Białymstoku, a później w Łomży. Zwykle otrzymywałem na nich nagrody i wyróżnienia, a reprodukcje

moich prac znajdują się we wszystkich katalogach tych imprez.

— Teraz jest Pan człowiekiem niezależnym, ale wówczas, kiedy był Pan prokuratorem, przełożeni nie kazali wybierać między tą a pędzlem?

— Nie. Trochę to dziwiło, ale nie budziło wrogich nastawień, choć w miarę upływu lat malowałem coraz więcej.

— Nie żałuje Pan, że przed laty spóźnił się na studia malarskie?

— Nie, bo to uchroniło mnie przed utratą miłości do malarstwa. Dzięki profesji prawniczej byłem zawsze dość niezależny materialnie i mogłem malować to, co chciałem i jak chciałem. Profesjonalizm w sztuce jest przede wszystkim walką o byt, a nie szukaniem wyrazu dla siebie, swojej psychiki, swojego myślenia, swojej chęci zrobienia innym przyjemności. Bo przecież tym jest moje malowanie. Przez dwadzieścia kilka lat sprzedałem może dziesięć obrazów, a bardzo wiele rozdałem. W Bieszczadach zobaczyłem Nikifora. To było olśnienie: ten upośledzony człowiek, kaleka, był dla naszego malarstwa kimś więcej niż całe Akademie. Myślę, że kimś takim dla sztuki światowej był Van Gogh. Bez nich świat wprawdzie istniałby, ale ludzie byłiby ubożsi. Na tym polega sens malowania.

Czesław Dziewieczynski w tym roku brał udział w Ogólnopolskiej Wystawie Sztuki Amatorskiej „Przyjaźń, Braterstwo, Współpraca” w Warszawie, gdzie wśród 2100 prac zdobył wyróżnienie. Teraz większą wagę przykładam do nowego „konika”, którym stało się zorganizowanie Łomżyńskiego Oddziału Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Stowarzyszenie wpisane jest już do rejestru, a w drugiej połowie września planuje walne zgromadzenie.

— Tymczasową prezesurę przekazę komu innemu, bo serce znowu płata mi niemiłe figle, a przecież siły trzeba oszczędzać dla malowania. Czas już wymienić obrazy w mojej galerii.

— Życzę jak najwięcej zwiedzających. Myślę, że nikt z naszych Czytelników nie zapomni adresu: Łomża, ul. Łukowa 2.

ANDRZEJ JASION

11
KONTAKT
16 IX 1984

prezentacje



25

— Pst, pst, piesku! Czy słyszysz? — rzekł półgłosem do Rolanda.

— Słyszę wrzask sowy i odpowiadanie jej towarzyszk.

— To hasło dzikich nawołujących się — szepnął Natan. — Weź ko-

biety za ręce i pospieszaj za mną.

I posunął się pierwszy ku drzwiom, ale łoskot jakiś zatrzymał jego

kroki... Obejrawszy się ujrzał, iż Edyta zemdlała.

— A więc trzeba unieść to biedne dziecko — zawołał kwakier — ty

bierz drugą. — To rzekłszy pochwycił Edytę na ręce i, jakby niósł trzy-

letnie dziecko, bez najmniejszego wysilenia pobiegł ku drzwiom. Ale no-

we zdarzenie wstrzymało go w pół drogi.

Z sieni dał się słyszeć przeraźliwy krzyk trwogi Cezara, a tuż po

nim jakiś donośny, gardłowy, szyderski śmiech, pochodzący, jak się zda-

wało, z podwórza.

Natan, złożywszy z szybkością błyskawicy Edytę na postaniu mcho-

wym, rzucił się do sieni. Roland pospieszył za nim.

Naprzeciw drzwi prowadzących z podwórza do sieni stał Indianin

ogromnego wzrostu, pomalowany na twarzy w jaskrawe kolory, co

oznaczało wojownika będącego na wyprawie wojennej. Trzymał on w ręce strzelbę, a ujrawszy obu Europejczyków, wydał po raz drugi ów śmiech gardłowy, potem zaś zawołał z szyderstwem:

— Pantera wita swoich błędnych braci, Pantera jest ich przyjacie-

lem!

A jakby ukazanie się straszego wroga nie było jeszcze dostatecznym do przerażenia grona wędrowców, spoza płóców dzikiego zaiskrzyły się oczy trzech lub czterech jego towarzyszy, wydając śmiech szyderskiego triumfu.

— Do drzwi! — krzyknął Natan donośnym głosem, który by można wziąć raczej za krzyk dowódcy, zachęcającego żołnierzy do ataku, aniżeli za słowa cichego i spokojnego kwakra. Widać przestraszył śmiertelny wydobyl z jego piersi ten głos przeraźliwy. Z ogromnym wysileniem rzucił się na Indianina, zagrażającego mu przejście: znać z narażeniem życia chciał sobie utorować drogę do ucieczki. Kapitan podskoczył za nim, ażeby go wstrzymać, ale tymczasem już kwakier i Indianin tarzali się po ziemi, a Roland, nie mogąc się wstrzymać w rozpędzie, upadł na obydwo. Upadek ten ocalił mu życie, albowiem w tejże samej chwili zagrzmiały strzelby pozostałych Indian.

Zanim Roland zdołał się dźwignąć, podniosło się z ziemi jedno ciało i znikło we drzwiach izby. Roland, pewien, iż kwakier poległ, a zwycięzca Indianin biegnie do chaty dla pomordowania kobiet, pobiegł za nim. Lecz cicho, jak żbik za upatrzoną zdobyczą, sunął za nim jeden z Indian. Już ostrze siekiery morderczej zabłysło nad głową kapitana, gdy wtem huknął strzał z izby i roztrzaskał wzniesioną rękę dzikiego, który, opuściwszy broń, z wyciem wybiegł na pole.

Na krzyk ranionego Indianina odpowiedzieli wrzaski trzydziestu najmniej jego towarzyszy. Kilku z nich popędziło ku chatce, ale na drodze wstrzymały ich celne strzały Colbridge'a i Cezara, którzy, lubo przejeżdżając śmiertelną trwogą, zdobyli się na obronę zagrożonego życia.

— Śmiało! Śmiało! Nie traćcie serca! Celujcie dobrze — zawołał Roland do obydwo, dodając im odwagi.

Dzicy, powstrzymani strzałami, wahali się przez chwilę, ale jeden z najodważniejszych rzucił się z wzniesionym toporem na Rolanda. Ten zdołał wprawdzie lufą strzelby odeprzeć cios siekiery, ale w tejże chwili uczuł się porwanym w żelazny uścisk Indianina, który go cisnął do swej piersi olbrzymią siłą.

Oddech dzikiego palił twarz Rolanda, piana wściekłości toczyła się z ust Osaga, który, zerzytując zębami, mówił zepsuta angielszczyzną: — Białe brzo! Słonie! Nóż długi nie pomoże mu. Osaga nóż krótki, ale obetnie skalp bladej twarzy.

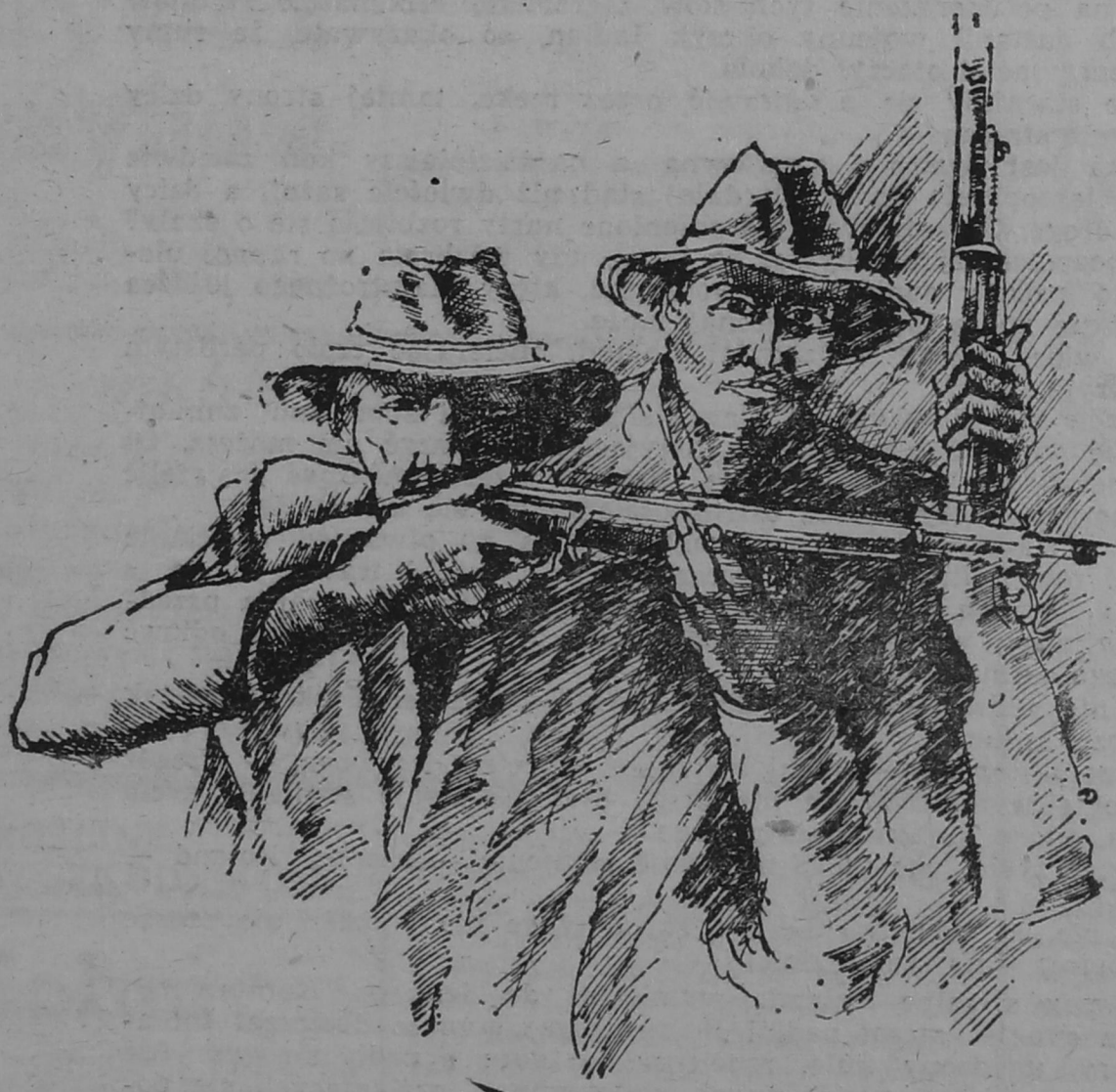
I pociągnął obezwładnionego Forrestera, jakby go pragnął uprowadzić pomiędzy swoich i w obliczu ich krwawą zedrzyć czuprynę.

Roland, chociaż ściśnięty w kleszczach srogiego wroga, nie stracił jednak przytomności ani odwagi. Z nadludzkim wysiłkiem starał się wydrzeć z rąk Indianina, a chociaż mu się to nie udało jednak gwałtownym szarpnięciem porwał za siebie nieprzyjaciela i obaj upadli na ziemię.

Na szczęście Natan, czując nieprzewidywany wstret do wszelkiej innej broni (z wyjątkiem fuzji, której do polowania używał) zaraz przy wejściu do zwalisk pistolety — wyjęte z olster konia Rolandowego — położył na boku w izbie, zamiast je oddać kapitanowi. W nagłości napa-
du kapitan nie miał czasu ich pochwycić. Strzelbę wydał mu Indianin i rzucił na bok, a Roland, chociażby ją widział, nie miałby możli-
wości jej podnieść.

DUCH PUSZCZY

WLADYSLAW L. ANCZYC





czekoladowa gwiazda (4)

Ludzie koniecznie chcą wiedzieć o nim wszystko: gdzie bywa, co robi, co je, z kim śpi, jak wygląda nago. Ameryka zawsze była przyzwyczajona do tego typu wizytówek idoli; Michael jako pierwszy wylał się z owego kanonu. Swoje życie prywatne chce mieć tylko dla siebie, co wścibskich i ciekawskich podnieca jeszcze bardziej. Walą więc ludzie tysiącami na jego występy. Chcą, by był z nimi zawsze, a nie pozostawał jedynie estradowym trickiem, błyszczącym pyłem i fosforyzującym zjawiskiem.

Na scenie jest gwiazdą, ale w życiu prywatnym — jak sam powiedział o sobie — „tajemniczością”. Po koncercie wraca do swego kononu, gdzie jest bezpieczny i szczęśliwy, aby czekać na kolejny przystanek rockowej odysei.

Ta ostatnia, zakończona na początku sierpnia br., była gigantycznym przedsięwzięciem organizacyjnym, finansowym i technicznym. Aby wejść na koncert Michaela Jacksona, trzeba było w bramie stadionu przebrnąć przez system 38 czujników, które wykrywały, szkło, poziom alkoholu we krwi widza i chyba też jego... nastawienie do pło-

senkarza. Na estradzie umieszczona była aparatura nagłaśniająca o mocy 12 000 watów! Cała ta maszyna stała na dwóch 70-stopniowych wieżach.

Wiele osób interesowała strona finansowa wielkiego tournée Jacksonów. Niestety, Michael nie zarobił na nim zbyt wiele. Rodzina Jacksonów nie należy do zgodnych, a kłótnie o podział dolarów wybuchły na długo przed wyruszeniem w trasę. Jak więc doszło do tego wojażu? Otóż pozostali bracia Michaela, a także jego rodzice — oszołomieni wielkim sukcesem „Thrillera” — nie mogli sobie darować faktu, że ten najbardziej milczący i skryty członek rodziny potrafił w kilkanaście miesięcy stać się milionerem. Oni również zapragnęli trochę zarobić na sławie syna i brata. Zorganizowali więc te koncerty, z Michaeliem w roli głównej, ale zastrzegli sobie, że wpływy podzielią między siebie równo. Dziwak Michael może przecież swoje miliony roztrwonić na realizację jakichś głupich pomysłów, a oni nadal pozostaną biedakami. W grę wchodziły przecież wielkie pieniądze: ponad 50 milionów dolarów.

Ostatecznie podzielono je w następujący sposób: 25 proc. wziął organizator i menedżer tournée „Victory” — Sullivan, pozostałe 75 proc. zagarnęli bracia. Nie wszystko trafi jednak do ich kieszeni — 5,5 miliona dolarów trzeba zapłacić koncertowi Pepsi-Coli, sponsorowi tego wojażu, a 15 proc. przekazać rodzinom, którzy wychowali i wykształcili takie cudowne dzieci.

Najbardziej zainteresowany pieniędzmi był ojciec Michaela — Joe, który na sławie syna robi niezłe interesy. To on wywierał na niego największy nacisk, by zgodził się odbyć tournée. Michael nie lubi ojca, rzadko z nim rozmawia; nie przepada też za braćmi. Wszyscy widzą w nim tylko maszynkę do zarabiania dolarów, które natychmiast trzeba gdzieś korzystnie ulokować.

Jest więc Michael Jackson estradową, wystrojoną marionetką, uprawiającą wspaniałą muzykę. Jest też nadal chłopackiem na posyłki w swojej — wielodzietnej — rodzinie.

Pozostał mu wprawdzie nóż, zatknięty za pasem, ale jako żołnierz, a nie myśliwy, zupełnie o nim zapomniał i skoro tylko zerwał się z ziemi, sięgnął ręką do szabli, pewien, że jedno cięcie palasza wystarczy do pokonania wroga.

Ale Indianin, równie odważny i zręczny, a nierównie przebieglejszy i bardziej nawykły do ręcznych zapasów, już swój nóż zza pasa wyciągnął i zanim kapitan zdolał wydobyć do połowy palasz z pochwy, uczuł ściśniętą prawicę lewą ręką dzikiego, który tymczasem prawą rękę wznosił w górę i, śmiejąc się przeraźliwie, gotował się nożem przerznąć gardło Rolanda.

Twarz jego, przez pół szkarłatnie, przez pół czarno pomalowana, wykrzywiona śmiechem dzikiej radości, wyglądała straszliwie w czerwonym odbłasku światła, padającego od ognia w chacie. Roland schwycił wzniesione ramie dzikiego i wysiłił się, aby powstrzymać cios śmiertelny. Kilka chwil nadludzkich zapasów zdawało się być wiekiem dla młodziana, nie mającego najmniejszej nadziei odparcia noża, który już prawie gardła dotykał.

Wtem ogień w chacie nagle zgasł i ciemności ogarnęły walczących. Roland uczuł, że uścisk zaczyna wolić i w tejże chwili gorący strumień krwi oblał mu twarz. Lecz nie jego była to krew, ale nieprzyjaciela, który, ugodzony niewidzialną ręką i bronią, jak dąb zwalony, legł u stóp kapitana, porywając go swym ciężarem na ziemię.

— Wstawaj! wstawaj! — poszepnął mu głos Natana, który mu domógł wydobyć się spod trupa Indianina. — Bijesz się jak lew albo niedźwiedź brunatny. Jakkolwiek brzydzę się krwi rozlewem, nie będę ci jednak miał za złe, jeżeli z tuzin jeszcze tych poczwaw wyprawisz do piekła. Oto twoja strzelba i pistolety; pal, ażeby myśleli, żeś otrzymał posiłki. Ja z mej strony, nie mogąc walczyć, przynajmniej będę naśladował głosy osadników, przybyłych ci niby na pomoc.

I wskoczywszy w zwaliska chaty, pogrążonej teraz w najgłębszej ciemności, począł przebiegać z miejsca na miejsce i wydawać okrzyki wojenne. Głos jego kilkakrotnie się zmieniał tak ludzko, iż Colbridge nawet i Cezar uwierzyli, że zastęp kolonistów nadbiegł z odsieczą. Trzy strzały oddane przez Rolanda do uchodzących Indian powiększyły jeszcze złudzenie. Indianie znikli w cieniach nocy, a waleczni Europejczycy odetchnęli nieco po gwałtownej bitwie.

Walka, którąśmy dopiero co opisali, odbyła się nadzwyczaj szybko. Roland nie umiał sobie nawet zdać sprawy z jej przebiegu pomyślnego, o którym świadczyły tylko cztery ciała zabitych Indian, gdyż głucha cisza zaległa na nowo okolice i nikt by nie przypuścił, że przed kilku minutami życie gromadki wędrowców wisiało na włosku.

Skuteczny i bez wątpienia całkiem nieprzewidywany opór małego oddziału, tak nieszczęśliwie dla napastników zakończony, odebrał im przynajmniej chwilowo śmiałość do powtórnego ataku. Przestraszeni i zmieszani ogarnęli Osagów.

W tej chwili osłupienia Indian, Nathan przysunął się do Rolanda i zawołał ze wzruszeniem: — O, bracie, przebac mi, że przez moją nieuwagę o mało nie utraciłeś swej ukochanej siostry.

— Ani słowa o tym. Nie obwiniam ciebie bynajmniej — odrzekł Roland. — Powiedz mi jednak, czyś ty zabił dzikiego, który pierwszy wdarł się do chaty, i czy twój nóż orzeszył drugiego Indianina, który mnie chciał zamordować?

— Czym ja go zabił? Czy mój nóż przeszył drugiego Indianina? Bracie! Cóżś wyrzekł? Chcesz mnie, człowieka cichego, obwiniać o ta-

kie czyni wojenne? Jam szczęśliwy, że uszedłem śmierci, że mnie Pan wyzwolił z rak tych oprawców.

— Ależ, na Boga! — zawołał Roland, patrząc na niego ze zdziwieniem. — Jakim cudem obydwaj utracili życie? Przecież sami nie pozabijali się?

— Któż to wie? — odrzekł Nathan z westchnieniem. — Dziwne są drogi Opatrzności. Być może pierwszy, upadając, roztrzaskał sobie głowę o kamień, a drugi otrzymał cios od swoich, którzy go w ciemności wzięli za ciebie.

— Lecz ów dziki, który ścigał mnie z siekierą? Czyjaż kula strzaskała mu rękę?

— Kula Colbridge'a lub Cezara, obydwaj bowiem dali ognia ze strzelb swoich.

— Mów, co chcesz — odrzekł Roland — przecież jestem pewien, że nie zostali pokonani bez twojego współudziału. Lecz dajmy pokój sporam, śpieszmy raczej do lasu, dopóki droga otwarta.

— Mylisz się, bracie. Dzicy cofnęli się tylko, ale nie wypuszczają tak łatwo z rąk swojej zdobyczy.

Jakby na potwierdzenie tych słów zagrzmięło kilkanaście strzałów i po nich nastąpił wojenny okrzyk Indian, co okazywało, że ruiny chaty nieprzyjacieli otoczył dokola.

— Więc starajmy się przeprawić przez rzekę, tamtej strony dzicy zapewne nie strzegą.

— Rzeka jest bystra i gwałtowna, a najdzielniejszy koń zaledwie zdolał się jej oprzeć; do brodu dalej stąd niż dwieście sążni, a dzicy przecięli drogę. Czy słyszysz, jak spienione nurty rozbijają się o skały? Tym niebezpieczniej przebywać ją teraz, gdy wezbrała po rannej ulewie; o sto kroków poniżej jest wodospad, który nieostrożnego jeźdźcę lub słabszego konia łatwo pochłonie może.

— Cóż więc czynić? — zapytał Roland, obcierając czoło perlistym potem okryte.

— Uzbroidź się w odwagę i staraj się wszelkimi sposobami zmniejszyć liczbę wrogów, skoro liczby przyjaciół zwiększyć nie możesz. Ot i teraz, jeżeli nie poczytasz sobie tego za grzech, mógłbyś zastrzelić tego nieboraka, który z taką ostrożnością czołga się ku chacie.

To powiedziawszy Nathan pociągnął Rolanda ku otworowi w ścianie i wskazał mu Indianina, pełzającego jak wąż wśród trawy.

Ale oko Rolanda nie było przyzwyczajone do rozpoznawania przedmiotów w nocy, więc pomimo wskazówek Natana nie zdołał odkryć zbliżającego się nieprzyjaciela.

— Nic nie widzę — szepnął do Natana — strzel sam, skoro go tak dobrze rozróżniasz.

— Ja mam strzelić? — rzekł Nathan ze wstrętem i trwogą. — Czegóż ty ode mnie wymagasz? Ja nie mogę brać na swoje sumienie życia człowieka, który się ku nam skrada.

— A więc życie jego biorę na swoje sumienie — szepnął Roland — strzelaj!

— Nie, nie, ja mogę wymierzyć, skoro ty go nie widzisz, ale proszę cię, pociągnij sam za cyngiel.

I wzięwszy strzelbę Rolanda wymierzył do dzikiego. Kapitan pociągnął za cyngiel, strzał padł i Roland teraz dopiero dostrzegł Indianina, który, ugodzony kulą, rzucił się w górę i padł nieżywy. Ale w tejże samej chwili tuzin innych wojowników, czołgających się podobnie jak tamten, porwało się na nogi i z okrzykiem zemsty rzuciło się ku chacie, rozpoczynając atak powtórny.

superman z zębów babuni

Ogromnym powodzeniem cieszy się ostatnio w Bułgarii lekarstwo o nazwie *tribestan*. Ziołowe tabletki, wytwarzane z rośliny o nazwie *babibi zybi* (zęby babuni), znacznie podnoszą ponoć potencję płci męskiej.

W Bułgarii występuje 3200 gatunków roślin, a z ok. 300 wyrabia się preparaty lecznicze. W Państwowym Zjednoczeniu Gospodarczym „Farmachin” opracowano oryginalną technologię otrzymywania aktywnych substancji biologicznych z ziół w postaci suchych środków, podobnych do kawy „Neski”.

Bułgarski przemysł farmaceutyczny wyrabia z roślin leczniczych m.in. takie preparaty, jak *glauvent* — na kaszel przy różnych chorobach, *nivalin* (ze śnieżycy wiosennej) — stosowany przy zapaleniach rdze-

nia, niedowładach kurczowych, paraliżach, zapaleniu opon mózgowo-rdzeniowych, zapaleniu mózgu itp., *tabeks* — środek odwykowy dla palaczy, *kratemon* (z głogu — przy zaburzeniach funkcji serca i nadciśnieniu, *rozanol* (z bułgarskiej róży oleistej) — przy chronicznych chorobach woreczka żółciowego i kamicy nerkowej, *perigran* (syrop z granatów) — działa skutecznie przy ostrych i chronicznych schorzeniach układu oddechowego, *alkratin* (z czosnku) — przy nadciśnieniu.

Ziołolecznictwo znane jest na ziemiach bułgarskich od czasów traci- kich, a jego tajniki — przekazywane z pokolenia na pokolenie. Stare za- bytki historyczne, rękopisy ksiąg medycznych, zwane *damaskinami*, oraz wypowiedzi lekarzy ludowych świadczą o bogactwie zielonej apteki.



TANIE DANIE

paprykarz z grzybów

Składniki: 75 dkg grzybów, 7 dkg smalcu, pół szklanki śmietany, 10 dkg cebuli, papryka, pieprz, sól.

Drobno posiekaną cebulę zarumie- nić na tłuszczu dodać paprykę, a następnie oczyszczone i pokrajane w paski grzyby, posolić, popieprzyć i dusić pod przykrywką tak dłu- go, aż grzyby się usmażą, a woda odparuje i zostanie sam tłuszcz. Wtedy dodać śmietanę, posypać je- szcze raz papryką do koloru i sma- ku.

mąka na sznurze

Pewnego razu przyszedł do Hodży sąsiad i poprosił o poży- czenie sznura. Hodża udał się do wnętrza domu. Wyszedł po chwili i oświadczył, że sznura pożyczyć nie może, gdyż kobie- ty rozwieszają na nim mąkę.

— Cóż ty wygadujesz? — zachnął się zdumiony sąsiad. — Czyż mąkę można powiesić na sznurze?

— Nawet mąkę można powiesić na sznurze, gdy się nie ma ochoty go pożyczyć — mruknął Hodża.

ROŚLINY PRZECIW SZKODNIKOM

piołun

Jest mało wybredny i rośnie na każdej glebie. Kwitnie od czerwca do września i w tym czasie należy

zbierać całe kwitnące ziele. Suro- wiec ma silny, korzenny zapach, bardzo gorzki w smaku. Odwar pio- lunu zabija gąsienice żerujące na warzywach. Pszczelarze zawieszają świeże ziele na ulach, aby odstra- szyć mrówki. Liści piołunu nie zno- szą mole. W czasie wojny wywarem tej rośliny zwalczano wszawicę wśród żołnierzy.



analfabeci XX wieku

Wśród 270 milionów obywateli dziesięciu krajów — członków Europejskiej Wspólnoty Gospodar- czej — ok. 21 milionów stanowią analfabeci lub półanalfabeci. W RFN-ie — ni stąd, ni zowąd — od- notowano 600 000 osób nie umieją- cych czytać ani pisać, a ostatnio li- ezba ich wzrosła do trzech milio- nów. W Wielkiej Brytanii naliczo- no dwa miliony analfabetów, tyleż we Francji; natomiast w Holandii — 400 000 jej obywateli oraz 50 000

cudzoziemskich robotników. W Gre- cji nigdy nie zasiadało w ławach szkolnych 720 000 potomków wiel- u uczonych starożytności, zaś oko- ło miliona Greków legitymuje się niepełnym podstawowym wykształ- ceniem. Smutny rekord w tej staty- styce biją Włosi — 11 milionów a- nalfabetów i półanalfabetów. Jedy- nie w Danii i Luksemburgu nie za- rejestrowano ani jednego człowieka, który by nie umiał czytać i pisać.

o życiu długim

● Adam żył lat 930; Seth — 912; Matuzal — 969; Noe — 950; Abra- ham — 175; Izaak — 180; Jakub syn Izaaka — 147.

● Św. Seweryn żył lat 373, gdy był uczyniony biskupem tungreń- skiem miał lat 297, na biskupstwie został lat 176. Atylla, król węgier- ski, miał lat 124, kiedy się ożenił.

● Niejaki Indian żył 340 lat, po czterokroć odmładniał, którego różni w Indii będący r. 1536 widzieli. Miąg, za świadectwem Lopezego, za każdym wymłodzenia razem włosy czarne, zęby nowe i czerstwość taką,

jaka rzadko w młodych znajduje się.

● Piast, król polski, żyjąc 120 lat przeniósł się do wieczności.

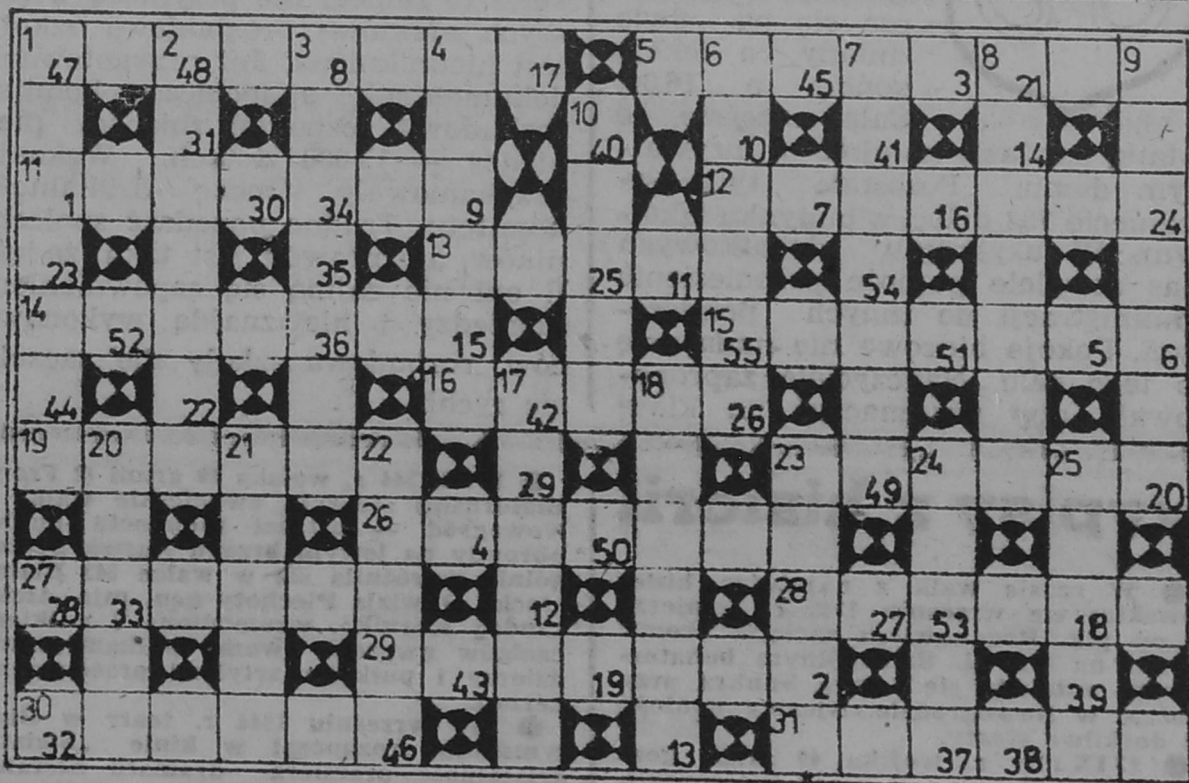
● Mikołaj z krwi książąt Radzi- wiłłów, żadnego prócz wody nie używając napoju, w sto lat życia dokonał.

● Andrzej z Dębin Degiński ma- jąc lat 120 podczas powietrza umarł.

● W województwie rawskim Sta- nislav Kaska żył lat 130, syn jego — 116; żona Petrykowska — 95. W Księstwie Oświęcimskim Wiśniowski liczył lat 140 i do odległego kościoła piecho uczęszczał nigdy nie zanie- dbał.

● Ossowski w województwie lu- belskim mając 115 lat orzechy las- kowe zgryzał i na koń rzeżko wsia- dał.

KALENDARZ CZOCHORONA



Po rozwiązaniu krzyżówki litery z pół ponumerowanych w prawym dolnym rogu, wypisane kolejno od 1 do 53, utworzą rozwiązanie.

POZIOMO: 1) powieść Wiktora Hugo, 5) „dowód osobisty” maszyny, 11) masz je, 12) od niedzieli do niedzieli, 13) słuszność argumentacji, 14) działacz obozu „bia- łych” w powstaniu styczniowym 1863 r., zmarł w Cytadeli, 15) bardzo smaczna ryba słodkowodna, 16) samica jednokopytnych, 19) zespół narządów organizmu człowieka, 23) rodzaj workowatej, rzecznej sieci rybackiej, 26) wprowadzenie ma- szyny do pracy, 27) postać z „Pana Tadeusza”, 28) fikcja, urojenie, 29) bezdroża, 30) w literaturze arabskiej krótkie opowiadanie z wstawkami wierszem, 31) garbnik z galasówek.

PIONOWO: 1) pierwsza polska studentka, 2) w zamku, 3) bezsilnikowy pojazd drogowy (z ciągnikiem siodłowym tworzy całość), 4) miasto nad Wisłą w woj. warszawskim, z ruinami zamku książąt mazowieckich, 5) miasto w RSFR (w górach Altaju), 7) ponad siły, 8) element garderoby plechura sprzed 40 lat, 9) drapieżna ryba z rodziny makrełowatych, 10) „dobra psu i...”, 17) przykład na Półwyspie Kornwalijskim, 18) ma go sójka, ma też dudek, 20) przysłowiowe czułe miejsce, 21) dyscyplinarna wika, 22) w parze z mową, 23) końcówka w zachwycie, 24) zły duch, 25) imię słynnego włamywacza-dżentelmena. (ARIES)

13

KONTAKTY
16 IX 1984

stragan pod trzynastką





biorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Szczuczynie: — W mieście działają dwa oddzielne systemy wodociągowe. W osiedlu spółdzielczym do wodociągu miejskiego jest podłączony blok czteropiętrowy i w nim, na wyższych piętrach, brakuje wody. Z tego wodociągu korzystają także właściciele 90 budynków prywatnych i 11 instytucji. Zapotrzebowanie przekracza prawie pięciokrotnie przepustowość sieci. Niewiele pomogło tu za instalowanie drugiej, bardziej wydajnej pompy; przekrój rur jest tak mały, że nie można więcej wtłoczyć w nie wody. A te kilkugodzinne braki wody w mieście przed kilkunastoma dniami były spowodowane awariami sieci elektrycznej. Zepsuł się np. transformator przy ul. Krzywej, do którego jest podłączona hy-



SDH „Rywal” jest otoczony codziennie wiankiem czekających. Jak się okazuje, wszyscy tworzą kolejkę do stoiska mięsnego. Czy to skutek zmniejszenia dostaw? **Mówi kierowniczką Spółdzielczego Handlowego „Rywal”:** — Założenie było takie: trzeba umożliwić zakup mięsa i wędlin osobom pracującym przed południem. Natomiast rzeczywistość jest taka, że kiedy ci pracujący przychodzą do naszego sklepu, są już np. na pozycji 150 w kolejce. Stoisko mięsne otwieramy o 12.00, ale ludzie ustawiają się już o 6.00; utrudniają rano zakupy pieczywa i mleka. Nie ma dnia, żeby nie doszło do kłótni. Próbuję ludzi uspokoić, ale to niewiele pomaga. Mamy umowę z masarnią WZSR-u, wedle której powinna nam dostarczać towar około godziny 12.00. Ale nie było chyba przypadku, aby nie spóźniła się o kilka godzin. Najczęściej przywozi przed 15.00. Dziś się też są przygotowane dla nas pojemniki, ale nie ma samochodu.



To jeszcze jedno miasto, w którym wyż demograficzny zaskoczył planistów od oświaty. Dzieci uczą się na dwie zmiany, a lekcje kończą o 16.30.

Całe szczęście, że 6-latkę znalazły miejsce w prywatnym domu. Pozostało tylko upełnić 733 dzieci w budynku szkolnym. W uzyskaniu dodatkowych klas niewiele pomoże przeniesienie administracji do innych pomieszczeń. Pokoje biurowe nie nadają się do tego celu. Nauczyciele zaproponowali, aby przeznaczyć na klasę

wypisy z historii

● W czasie walk z najeźdźcą hitlerowskim we wrześniu 1939 r. żołnierze 33 pp płk. Roganowicza zacięcie bronili mostu na Narwi. Szczególnym bohaterstwem wstąpiła się załoga bunkra przy moście w Nowogrodzie. Niemcy ponieśli tu dotkliwe straty.

● 13 IX 1944 r. wojska 49 armii gen. lejtk. Iwana Griszina (2 Front Białoruski), po trzydniowej zaciętej walce, wyzwolił Łomżę.

„SZTAFETA” to konkurs „ŻYCIA PARTII”!

Organizatorom konkursu zależy na s
jach dotyczących tworzenia warunków
torstwa i inicjatyw młodzieży w rozwol
nych, a w szczególności realizacji posta
KC PZPR. Chodzi o przedstawienie ty
które zmierzają do kształtowania poczu
sze sprawy życia społeczno-gospodarczego
Tematami prac konkursowych mogą
młodzieży i inni przełożeń, którzy cles
dych, rozwiązywanie trudności życiow
ne; skuteczność pracy ideowo-wychowaw
zacje partyjne trafnych inicjatyw młod
we wszystkich formach samorządu, w
także socjalistycznych związkach młod
Na tych, którzy do 31 XII br. nadesł
Wspólna 32/46, 00-519 Warszawa swoje
I - 40 000, dwie II po 25 000, trzy III po

SZCZUCZYN

drofornia. Elektrycy nie ułatwiają nam zadania nie informując o wyłączeniach. Zdarzył się też przypadek odwrotnego zainstalowania biegunów elektryczności. Uszkodziło to nam silniki w pompie wodnej.

O wiele lepszą sytuację mają użytkownicy drugiego wodociągu: Zbudował go, a teraz rozbudowuje, Państwowy Ośrodek Maszynowy. Obliczyliśmy, że ilość wody, która gromadzi się w tych studniach, wystarczy na zaspokojenie potrzeb Szczuczyna nawet wówczas, kiedy będzie on dziesięciokrotnie większy od dzisiejszego. W przyszłym roku rozpoczniemy budowę nowej magistrali wodociągowej o większym przekroju rur, która będzie zasilała ze studni POM-u. Przebudowę zaczniemy od ul. Kilińskiego. Zakończenie przewidujemy do roku 1990. Warto chyba przypomnieć mieszkańcom naszego miasta, że od kiedy powstało nasze Przedsiębiorstwo, sporadyczne przerwy w dostawach wody sięgają kilku godzin. Poprzednio, kiedy podlegaliśmy pod Grajewo, trwały po kilka dni.

WYSOKIE MAZOWIECKIE

PSS „Społem” ma niewielkie przydziały benzyny i nie może wyreczyć masarni. Próbowalam porozumieć się z masarzami, żeby dostarczali swoje wyroby rano, ale nic z tego nie wyszło.

Zaczął się rok szkolny, a my nie mamy nic z odzieży dla dzieci w tym wieku. Brakuje nawet butów. Są może jedynie dla pierwszoklasistów. Tragicznie jest też z artykułami gospodarstwa domowego. Nie wspominam tu o pralkach czy lodówkach, ale wiele gospodyń uszczęśliwiłaby dostawa plastikowych wiader czy miednic.

Mamy wiele urządzeń w naszym domu handlowym, ale większości nie wykorzystujemy. Gdyby były czynne chłodziarki, sprowadziłabym z białostockiej chłodni wiele mrożonek: pyzy z mięsem, podroby, mieszanek warzywno. Jest nawet elektryczna krawalnia do wędlin, ale też uszkodzona. Ale czy byłaby przydatna? Minęły czasy, kiedy kupowało się wędliny w plasterkach.

CIECHANOWIEC

pokój nauczycielski. Kolejne przenosiny czekają też chyba bibliotekę szkolną. Teraz wiadomo, że wszystkie te zabiegi nie przyniosą większych efektów i rozbudowa szkoły jest nieunikniona. Już przygotowano dokumentację, a społeczny komitet rozbudowy rozpoczął zbierkę pieniędzy — 15 000 złotych. Wakacje przyhamowały trochę działalność komitetu. Trudno popętać społeczników, ale prawda jest taka, że jeśli oni nie zajmą się zapewnieniem pieniędzy i nie znajdą wykonawców, rozbudowa szkoły nie zacznie się rychło.

● 14 IX 1944 r. wojska 49 armii (2 Front Białoruski) stoczyły zwycięskie walki o Nowogród — ostatni niemiecki punkt obronny na lewym brzegu Narwi. Szczególnie wyróżniła się w walce 343 Białostocka Dywizja Piechoty gen. mjr. Aleksandra Kornika, wzmocniona 7 pułkiem czołgów gwardii, dwoma pułkami moździerzy i pułkiem artylerii przeciwpancernej.

● We wrześniu 1944 r. teatr w Białymstoku rozpoczął w kinie „Świat” działalność premiera dramatu Stefana Żeromskiego „Uciekła mi przepióreczka”.

„SZTAFETA POKOLEŃ”

to konkurs otwarty
„ŻYCIA PARTII” i „KSIAŻKI I WIEDZY”

Organizatorom konkursu zależy na szczegółowych i udokumentowanych relacjach dotyczących tworzenia warunków do rozwoju aktywności społecznej, nowatorstwa i inicjatyw młodzieży w rozwiązywaniu spraw własnych i ogólnospołecznych, a w szczególności realizacji postanowień zawartych w Uchwale IX Plenum KC PZPR. Chodzi o przedstawienie tych partyjnych inicjatyw i przedsięwzięć, które zmierzają do kształtowania poczucia współodpowiedzialności za najistotniejsze sprawy życia społeczno-gospodarczego zakładu pracy, wśl. środowiska, regionu.

Tematami prac konkursowych mogą być: zasługi mistrzowie-wychowawcy młodzieży i inni przełożeni, którzy cieszą się w zakładzie autorytetem wśród młodych, rozwiązywanie trudności życiowych przez środowisko zawodowe i społeczne; skuteczność pracy ideowo-wychowawczej; wspieranie przez Instancje i organizacje partyjne trafnych inicjatyw młodych radnych i młodych aktywistów PZPR we wszystkich formach samorządu, w PRON-ie i organizacjach społecznych, a także socjalistycznych związkach młodzieży.

Na tych, którzy do 31 XII br. nadesłali pod adresem redakcji „Zycia Partii” (ul. Wspólna 32/46, 00-519 Warszawa) swoje wypowiedzi, czekają następujące nagrody: I – 40 000, dwie II po 25 000, trzy III po 20 000 i pięć wyróżnień po 12 000 złotych.

afisz administracyjny

Sierpień był miesiącem konsultacji założeń centralnego planu społeczno-gospodarczego na rok 1985, przy uwzględnieniu wycinkowych rozwiązań wariantowych. W dyskusji wzięły udział załogi lub przedstawiciele zakładów i przedsiębiorstw, wobec których wojewoda łomżyński jest organem założycielskim, terenowe organa administracji państwowej stopnia podstawowego i wojewódzkiego, a także większe przedsiębiorstwa przemysłu kluczowego. Współuczestniczyły w niej partie polityczne, organizacje młodzieżowe i społeczne oraz związki zawodowe.

Wynikiem z bogatej dyskusji wnio-
ski i uwagi dotyczące wielu proble-
mów społecznych i gospodarczych
— za pośrednictwem Wojewódzkiej
Komisji Planowania — zostały
przedstawione Komisji Planowania
przy Radzie Ministrów, która będzie
pracować nad przygotowaniem
projektu „Planu” na 1985 rok.

Z największym zainteresowaniem dyskutowano nad propozycją podziału dochodu narodowego. Kontrowersje wywołał planowany 9-proc. wzrost kosztów utrzymania (wg I wariantu dochodzenia do równowagi ekonomicznej kraju). Większość określiła obecny poziom kosztów utrzymania jako bardzo wysoki. Jednocześnie zwrócono uwagę na małą realność wyżej wymienionego wskaźnika kosztów utrzymania wobec wprowadzonych w bieżącym roku oraz planowanych na przyszły rok podwyżek cen zaopatrzeniowych.

Przedstawiciele załóg wielu zakładów proponowali niezwłoczną realizację stopniowego odchodzenia od reglamentacji — w pierwszej kolej-

ności przetworów zbożowych oraz artykułów przemysłu mleczarskiego. Postulowano zwiększenie (w stosunku do planowanych ilości) produkcji wyrobów standardowych, niezbędnych do wyposażenia mieszkań, a także ciągników i innych podstawowych maszyn rolniczych i części zamiennych. Wnioskowano poprawę zaopatrzenia rolnictwa w podstawowe środki do produkcji rolnej, gwarantującą jej intensyfikację i rozwój.

Dozwolę sobie powiedzieć, że większość wniosków dotyczyła sfery inwestycji i budownictwa. Przede wszystkim postulowano usunięcie ostrych niedoborów materiałów budowlanych, ściennych i pokryciowych, co m.in. hamuje budownictwo mieszkaniowe i inwentarskie na wsi. Poprawa zaopatrzenia w materiały budowlane będzie skutecznym poparciem inicjatyw społecznych, zwłaszcza przy budowie obiektów szkolnych i dróg wiejskich.

Wnosząco o zwiększenie planowanych nakładów na wyjątkowo rentowne inwestycje przedsiębiorstw kosztem zmniejszania nakładów na inwestycje centralne.

Z analizy wniosków wynika, że konsultacja społeczna założeń „Centralnego planu rocznego” umożliwiła wielu zakładom urealnienie zamówień produkcyjnych na przyszły rok. Stwierdzić można, że taka forma konsultacji społecznej wywołuje sporo inicjatyw i szersze spojrzenie na problemy społeczno-ekonomiczne kraju i województwa.

Mgr STANISŁAW GRODZKI
przewodniczący
Wojewódzkiej Komisji
Planowania

bracia spod znaku „POGONI”



Barwnie i śpiewnie było w sali WDK podczas występu zespołu pieśni i tańca ludowego Ałytuskiego Mińskiego Domu Kultury „Dziemelis” z Litwy. Originalna choreografia, wysoka kultura sceniczna, niebanalne stroje — w połączeniu z młodzieńczą tego amatorskiego ansamblu — to atuty, które sprawiły, że pełna widzów sala raz po raz rozbrzmiewała rzęziłymi oklaskami. Na poziomie profesjonalnym zespół „Litwa” występował i wytańczył program oparty na ludowej skarbnicy braci spódznaku „Pogoni”. Szczególnie ujęli za serca łomżyńską publiczność zgrabnie odtanńczonym krakowiakiem oraz odśpiewaniem „Łowiczanki”. Więcej takich gości w grodzie nad Narwią!

wieści gminne

MIĄSTKOWO. Przez 10 lat mieszkańcy gminy czekali na budynek i urządzenia wagi. Zagadką jest ilość lat, które upłynęły do czasu wybudowania w Miastkowie magazynu nawozowego. Na razie worki leżą pod chmurką, pękają i trzeba nawet przesyypać.

Wnioski o budowę magazynu docierałyby sprawniej do siedziby GS-u w Nowogrodzie, gdyby łatwiejsza była łączność. Automatyczne połączenie między obu miejscowości zajmuje więcej czasu niż przez tradycyjną centralę (gdyby istniała).

Powodem ciągłego nawoływania: „Więcej wader cynkowych tudzież kociolków i wanien!” — jest nadzwyczajna pedanteria mieszkańców gminy, chociaż może to sugerować ostatni z wymienionych sprzętów; naczynia te potrzebne są w obrządku gospodarskim. Niewykluczone, że zalegają magazyny „gdzieś w Polsce”, podobnie jak sznurek — dostępny w tej gminie, w innych był przedmiotem marzeń.

GRABOWO. Jednym z zadań, jakie przyjął na siebie związek zawodowy przy Państwowym Ośrodku Hodowli Zarodowej, jest walka z alkoholizmem. W ubiegłym roku dyrektor przedsiębiorstwa zwolnił za pijaństwo czterech pracowników. Za dwóch, ze względu na ich trudną sytuację rodzinną, poręczył związek zawodowy. Podobno dzisiaj pod względem stosunku do alkoholu są to zupełnie inni ludzie. Pracownicy POHZ-u zajmują się nie tylko hodowlą; podtrzymują również więzy przyjaźni z zagranicznymi kolegami po fachu. Ostatnio na wyjazd do Bulgarii zostali wytypowani: dyrektor przedsiębiorstwa, zootechnik i, drogą losowania, głów-

imprezy kulturalne

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: koncert zespołów muzycznych z woj. łomżyńskiego z okazji wyzwolenia Łomży — 14 IX, godz. 17.00; „Pan Faj-nacki” — spektakl Teatru Lalek z Białegostoku dla dzieci — 12 i 13 IX, godz. 10.00 i 13.00; „Tobie śpiewam te pieśni” — występ Warszawskiego Zespołu Imprez Artystyczno-Propagandowych — 14 IX, godz. 16.00; występ dziecięcego zespołu „Radosz” z Olsztyna — 15 IX, godz. 11.30.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Kolnie: dyskoteka — 16 IX, godz. 19.00; „W kramie baśni i bajek” — polski film animowany dla dzieci — 18 IX, godz. 17.00. Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wysokim Mazowieckim: gminne dożynki w Miodusach Wielkich (w programie występ zespołu instrumentalno-wokalnego z MGDK w Wysokim Mazowieckim oraz dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Wysokim Mazowieckim i z Jabłoni Kościelnej, na zakończenie — zabawa ludowa) — 13 IX, godz. 10.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grabowie: „Awans” — film polski — 19 IX, godz. 17.00; rozgrywki szachowe — 14 IX, godz. 16.00; dyskoteka — 15 IX, godz. 18.00. Gminny Ośrodek Kultury w Trzciannem: zgadują-gadają p.h. „Czy znasz literaturę polską” — 14 IX, godz. 17.00; zajęcia koła plastycznego — 14 IX, godz. 17.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: spotkanie z pisarzem Aleksandrem Omilianowiczem — 13 IX, godz. 12.00; dyskoteka — 15 i 16 IX, godz. 20.00; „Spotkanie z piosenką polską” — koncert w wykonaniu zespołu instrumentalno-wokalnego z MGDK w Zambrowie — 16 IX, godz. 10.00; spotkanie w Klubie Seniora — 19 IX, godz. 16.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: spotkanie z bajką — 19 IX, godz. 16.00; zajęcia zespołu plastycznego (w plenerze) — 19 IX, godz. 16.00.

14 IX
PIĄTEK
PROGRAM I
9.40. Film dla II zmiany: „Odwieczny zew” (2) — film radz. 16.25. DTV. 16.30. Tylko dla orlat. 16.55. Piątek z Pankracym. 17.30. „Kaprasy Łazarza” — polski film fab. 18.20. Seans filmowy. 18.50. O żywieniu. 19.00. Dobranoc. 19.10. PZU informuje. 19.30. DTV. 20.00. Monitor Rzadowy. 20.30. „Odwieczny zew” (2) — radz. film fab. 21.40. DTV. 21.55. Zniwa 84. 22.00. Studio sport. 22.40. „Córka albo syn” — film polski. 23.50. DTV.

PROGRAM II
17.30. Oferty nauki. 18.00. Poza ziemią. 18.30. Program lokalny. 19.00. Kibic doskonały. 19.30. DTV. 20.15. Złota piyta zespołu 2+1. 21.30. Galerie świata. 22.00. „Wielki bananowy tort” — film CSRS. 23.05. Rozmowy intymne. 23.35. Studio IX Festiwalu PFF Gdańsk 84.

SOBOTA
PROGRAM I
8.30. Tydzień na działce. 9.00. Sobótka. 10.30. Historia dramatu polskiego: J. Sza-niawski „Dwa teatry”. 12.05. Hobby. 12.35. Z Polski rodem. 13.05. Poradnik rolniczy. 13.30. Program rozrywkowy. 14.05. Wojskowy program dokumentalny. 14.35. Podróże bez biletu. 15.00. DTV. 15.10. Telewizyjna Lista Przebojów. 15.30. W świecie ciszy. 16.00. „Parada oszustów” — film polski. 17.00. Studio sport. 18.40. Losowanie Dużego Lotka. 18.20. Pegaz. 19.00. Dobranoc. 19.10. Z kamerą wśród zwierząt. 19.30. DTV. 20.00. „Słona róża” — film fab. 21.25. Na żywo. 22.00. Program rozrywkowy. 22.50. Wiadomości sportowe. 23.50. „Upiorna namiętność” — horror ang.

PROGRAM II
12.50. Sobota w Dwójce, a w niej m.in.: Powitanie z Krynicy. Wideoetka. Pijalnia wód w Krynicy. „Wielkie pustynie” — serial franc. „Lebki i ogonki” — film animowany. 19.30. DTV. 20.00. Koncert gwiazd — festiwal im. J. Kiepury. 20.55. „Z litcy. 21.50. „Marco Polo” — serial włoski. 22.10. Legenda Nikifora.

NIEDZIELA
PROGRAM I
7.25. W naszej rodzinie. 7.45. Alarm przeciwpożarowy trwa. 7.55. Po gospodarstwie. 8.20. Tydzień. 9.00. Teleranek. 10.30. Wielkie miasta świata. 11.30. Na krawędzi świata. 12.00. Siedem Anten. 13.25. Telewizyjny Koncert Życzeń. 14.10. Teatr dla dzieci. 15.00. DTV. 15.30. Wyjść poza siebie. 16.00. W starym kinie: „Czerwony szal” — film fab. 18.20. Antena. 19.00. Wieczorynka. 19.30. DTV. 20.00. Z lat minionych. 21.00. „Kaskader” — franc. film fab. 22.00. DTV. 22.10. Przegląd międzynarodowy. 23.00. Sportowa niedziela.

PROGRAM II
10.00. „Kaskader” — franc. film fab. 11.30. „Żołnierskie drogi” — program woj-skowy. 12.00. Niedziela w Dwójce, a w niej m.in.: Godzina dla zdrowia. Kalejdoskop filmowy Kino-Oko. „Winnou” — serial franc. Jutro pomiędzy „Cervantes” — serial hiszp. 19.30. DTV. 20.00. Studio sport. 21.00. X Międzynarodowe Biennale Plakatu. 21.30. Sensacje XX wieku. 22.15. „Szpital na peryferiach” — serial CSRS.

16 IX
14 września

15 września

16 września

17 września

18 września

19 września

20 września

21 września

22 września

23 września

24 września

25 września

26 września

27 września

28 września

29 września

30 września

1 października

2 października

3 października

4 października

5 października

6 października

7 października

8 października

9 października

10 października

11 października

12 października

13 października

14 października

15 października

16 października

17 października

18 października

19 października

20 października

21 października

22 października

23 października

24 października

25 października

26 października

27 października

28 października

29 października

30 października

31 października

1 listopada

2 listopada

3 listopada

4 listopada

5 listopada

6 listopada

7 listopada

8 listopada

9 listopada

10 listopada

11 listopada

12 listopada

13 listopada

14 listopada

15 listopada

16 listopada

17 listopada

18 listopada

19 listopada

20 listopada

21 listopada

22 listopada

23 listopada

24 listopada

25 listopada

26 listopada

27 listopada

28 listopada

29 listopada

30 listopada

1 grudnia

2 grudnia

3 grudnia

4 grudnia

5 grudnia

6 grudnia

7 grudnia

8 grudnia

9 grudnia

10 grudnia

11 grudnia

12 grudnia

13 grudnia

14 grudnia

15 grudnia

16 grudnia

17 grudnia

18 grudnia

19 grudnia

20 grudnia

21 grudnia

22 grudnia

23 grudnia

24 grudnia

25 grudnia

26 grudnia

27 grudnia

28 grudnia

29 grudnia

30 grudnia

31 grudnia

1 stycznia

2 stycznia

3 stycznia

4 stycznia

5 stycznia

6 stycznia

7 stycznia

8 stycznia

9 stycznia

10 stycznia

11 stycznia

12 stycznia

13 stycznia

14 stycznia

15 stycznia

16 stycznia

17 stycznia

18 stycznia

19 stycznia

20 stycznia

21 stycznia

22 stycznia

23 stycznia

24 stycznia

25 stycznia

26 stycznia

27 stycznia

28 stycznia

29 stycznia

30 stycznia

31 stycznia

1 lutego

2 lutego

3 lutego

4 lutego

5 lutego

6 lutego

7 lutego

8 lutego

9 lutego

10 lutego

11 lutego

12 lutego

13 lutego

14 lutego

15 lutego

16 lutego

17 lutego

18 lutego

19 lutego

20 lutego

21 lutego

22 lutego

23 lutego

24 lutego

25 lutego

26 lutego

27 lutego

28 lutego

29 lutego

30 lutego

31 lutego

1 marca

2 marca

3 marca

4 marca

5 marca

6 marca

7 marca

8 marca

9 marca

10 marca

11 marca

12 marca

13 marca

14 marca

15 marca

16 marca

17 marca

18 marca

19 marca

20 marca

21 marca

22 marca

23 marca

24 marca

25 marca

26 marca

27 marca

28 marca

29 marca

30 marca

31 marca

1 kwietnia

2 kwietnia

3 kwietnia

4 kwietnia

5 kwietnia

6 kwietnia

7 kwietnia

8 kwietnia

9 kwietnia

10 kwietnia

11 kwietnia

12 kwietnia

13 kwietnia

14 kwietnia

15 kwietnia

16 kwietnia

17 kwietnia

18 kwietnia

19 kwietnia

20 kwietnia

21 kwietnia

22 kwietnia

23 kwietnia

24 kwietnia

25 kwietnia

powiadam wam

W dwusetnym, jubileuszowym numerze „Kontaktów” nasz macierzysty, jak by nie było, organ przypominał sobie wreszcie o nas (aktualnie nr 27) i wydrukował list Czytelniczki z Zambrowa, którego fragmenty z satysfakcją tutaj przytaczam: „Chciałabym jednak wyrazić swoje skromne zdanie na temat ostatniej strony pisma [...] Niechaj ona już zostanie biała anizeli taka, jaka jest: jakieś zebrania bez sensu, jakieś dziwactwa Róży, dowcipu w tym za grosz — ni to się śmiać, ni płakać”.

Tekst ten przypominamy z zadowoleniem oraz z dwóch różnych powodów. Po pierwsze — boimy się, aby w natłoku innych listów, zamieszczonych w tym numerze, ogólnie biorąc — pochwalnych, jego treści nie umknęły uwadze Czytelników. Z kontekstu przecież jasno wynika, że tylko dzięki nam „Kontakty” nie zostały jeszcze uznane za najlepszy tygodnik w kraju, i to nie tylko lokalny. Po drugie — ta pani (jak sama o tym pisze) ongiś zbierała odcinki powieści pt. „Ordynat Michorowski”, a teraz z lubością kompletuje „Ducha puszczy”.

Tym niemniej nasz klient — nasz pan i jego życzenia są dla nas rozkazem.

PODREDAKTOR

Biała plama do czytania. Póki co — jeszcze mała, ale musimy przecież dać też jakieś szanse innym Czytelnikom.



Rys. Waldemara Ruksoja

horoskop sarmacki

Urodzonych w tym tygodniu między godziną 1.30—2.12 (pod znakiem Zolzy) w pierwszym rzędzie cechuje bezinteresowność tak dalece posunięta, że całkiem bezinteresownie zazdroszczą wszystkim

tego, czego sami nie mają: artystom — talentu, wytrwałości i zdolnym — sukcesu, pracowitym i oszczędnym — wszelkich dóbr materialnych. Przy każdej okazji powtarzają: czy to u nas kapitalizm, żeby innym było lepiej ode mnie?

Przychylna roślina: glistnik jaskółcze ziele (*chelidonium majus*).



magiczna klatka (2)

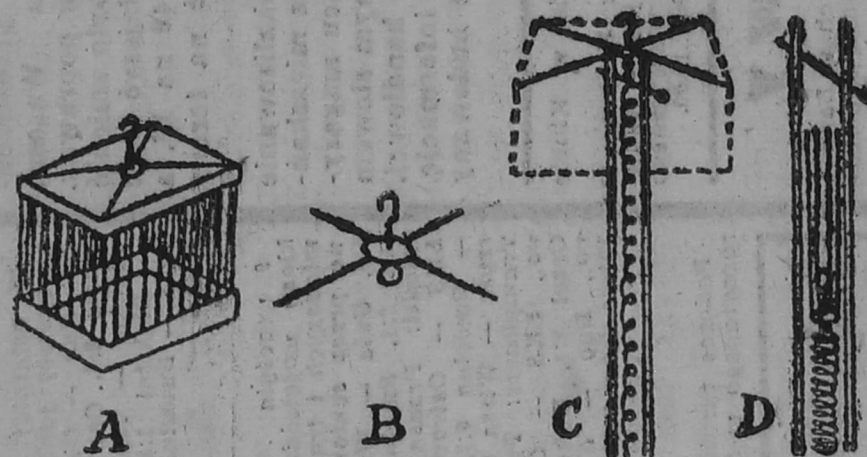
Sekret sztuki, którą przedstawiłem w ubiegłym tygodniu, zasadza się na przygotowaniu kilku rekwizytów, z których najważniejsze to stolik, drążek i składany krzyżak z cienkich prętów meta-

lowych. W stoliku musi się znajdować otwór na klatkę z ptakiem.

Drążek (rys. C i D) ma ukrytą wewnątrz sprężynę, która — po zwolnieniu specjalnego przycisku — cofając się wciągnie za sobą składany krzyżak wielkości górnej ścianki klatki. Krzyżak ten sztukmistrz nakłada na klatkę przed wyjściem na scenę i, oczywiście, przed przykryciem klatki chustą.

Najtrudniejszy do wykonania jest ten moment sztuki, gdy iluzjonista — „unosząc” klatkę do góry w celu postawienia jej na drążku — w rzeczywistości chowa ją w otworze stolika.

Fakir



MAŁA ENCYKLOPEDIA WIEDZY Tajemnej

ZYGFRYD NEUMAN
(1721—1801)

Z pochodzenia Niemiec (Saksończyk). Odznaczał się fenomenalną, niebywałą pamięcią. Rozmowę prowadzoną przez kilka osób potrafił odtworzyć bezbłędnie, słowo w słowo, nawet po kilku miesiącach. Naśladował też głosy wszystkich mówiących; zachowywał wiernie wszystkie przerwy, a nawet zająknięcia czy „potykanie” sylab. Kiedy jego zdolności stały się słynne, zatrudniono go w służbie dyplomatycznej. Niestety, posiadał tylko tę jedną umiejętność, człowiekiem był bardziej niż przeciętnym i samodzielnie nie umiał pracować. Jasność i fenomenalną przytomność umysłu zachował do ostatnich chwil długiego, jak na tamte czasy, życia. Leżąc na łożu śmierci „opowiadał” rozmowy zasłyszane we wczesnym dzieciństwie. Na kilka minut przed zgonem stracił przytomność, a potem ocknął się i powiedział znamienne słowa: — Nic już nie pamiętam z przeszłości. Nareszcie jestem zwykłym człowiekiem. Ten drugi odszedł, za chwilę i ja odejdę. Żegnajcie!

Z ZYSKIEM W ANTYKWARIACIE



i ty przekroczysz

RUBIKON

BYLEŚ MIAŁ W KIESZENI PASZPORT KONSULARNY

FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

Koniec

Tamte dni i tamte lata
W mej pamięci pozostały
Gdyś udawał ja wariata
By mnie władze nie dorwały
Napoleon Bonaparte —
takie było me nazwisko
Teraz życie diabła warte
Wszystko utracilem, wszystko...
Dzisiaj jestem zwykły Kazik
A w dodatku zwę się Krupa
Już pod oknem stoi gazik
Koniec, kropka, zimna d...

Stefan S. Bliźszych danych brak. Poeta obiecał, że w najbliższej przyznadzie ujawni się, a wtedy napiszemy o nim coś więcej.

Z pamiętnika seksualisty (10)

Pieniądze potrzebne na biulet do onego cyrku zdobyłem, przyznać to dzisiaj muszę, w sposób może niezbyt uczciwy, ale za to konkretny. Ofiarowałem się mianowicie zadrukować popękane garnki jednemu z taborystów, sprzedających różne driakwie i maści, mające chronić żołnierzy od śmiertelnej kuli. Pobrawszy skromną, lecz wystarczającą do spełnienia moich celów, przedpłatę — garnki, ma się rozumieć, wyrzuciłem na śmietnik i biegiem udałem się w stronę namiotu, bacząc po drodze, aby gdzie ojca ze stryjem nie napotkać.

Przy wejściu do budy jarmarcznej siedziała stara kobieta, pachnąca wonią zjełczałego piżma. Na mój widok skrzywiła się okrutnie, ale brzęcząc monetą w końcu zrobiła swoje i — mrucząc coś pod nosem — wpuściła

mnie do środka. Tutaj, gdy tylko oczy przywykły do szarej ciemności, ujrzałem rząd wysokich parawanów, za którymi najpewniej ktoś musiał przebywać, bowiem do moich uszu dobiegały zza nich rześkie chichoty, pomieszane z ciężkimi postękiwaniami. Chwilę błąkałem się po ciasnym korytarzu, aż — wzięwszy się wreszcie na od wagę — popchnąłem płócienne drzwiczki przepierzenia, za którymi panowała niemal grobowa cisza. Wewnątrz, na zbitym z desek wyrku, siedziała całkiem naga kobieta o kształtach tak obfitych, iż w pierwszej chwili myślałem, że to wór jakiś albo kopa siano.

— A ty tu czego? — zapytała strojnisią.

— Ja? — ledwom wystękał i przerażony natychmiast powiedziałem: — Dajcie, kobieto, miedziaka, to pójde po piwo (Cdn.)



Wybór złotych myśli z Bardzo Ważnego Dokumentu szczerbla wojewódzkiego.

CZEŚĆ I

Temu celowi podporządkujemy pozostałe działania, traktując je jako środki realizacyjne.

Wzniesliśmy je przez wspólny udział w dorobku, jaki stał się dziełem i staje się efektem (...).

Wynosimy te zdarzenia w sposób szczególny, gdyż całą naszą wspólną ofertę będziemy realizować w doskonałej formie ludowładztwa.

(...) zwiększenie potencjału produkcyjnego całego rolnictwa poprzez dalszy wzrost uzbrojenia pracy w ciągniki i maszyny rolnicze.

Pożądane jest dalsze urozmaicanie produkowanych wyrobów przemysłowych, zwłaszcza w zakładach drobnej wytwórczości oraz poziomu ich.

Zakłada się korzystne zmiany nadal rozwijając i umacniając.

(...) doskonalenie rozrodu zwierząt gospodarskich w kierunku poszerzonego korzystania z uznanych jego form.

Większą niż dotychczas troską objęte winny być problemy ochrony środowiska naturalnego. (Cdn.)

BEZ ATESTU